Ongi w dworach i dworkach szlacheckich.

ALEKSANDER WYBRANOWSKI.

Ongi
w dworach i dworkach szlacheckich.

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego

I.

. . . . . .
Dom niewielki — wtem gość wchodzi;
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie,
Drzwi i serce swe otworzył.

W. Pol.

Wiek XIX pełno zmian ważnych społeczeństwu przyniósł, i pełno wynalazków pożytecznych natworzył. Dlatego więcej ta odmiana za życia naszego jest widoczna, niż była za dawniejszych pokoleń.

Chętnie jednak ceni się to, co było dawniej, i tę przeszłość, tyle odmienną od dzisiejszych czasów, mile wspomina.

Dość wspomnieć te liczne poświęcenia, te usługi, niesione dla sprawy narodowej, to życie towarzyskie, pomimo ucisku pełne swobody, w dworach i dworkach szlacheckich, gdzie gościnność, nietylko na samem sąsiedzkiem, chwilowem przyjęciu się ograniczała, ale gość w niejednym domu, na jednej wiosce często miesiącami bawił, a czasem nawet i całe lata, jak to się u nas w Galicyi działo po upadku narodowego powstania w roku 1831. Za tę gościnność w dodatku częstokroć potrzeba było znosić prześladowanie rządu, i żebrać u niego o pozwolenie, żeby mieć tych zacnych gości u siebie.

Każdy jednak czuł się szczęśliwym, niosiąc tę ofiarę ludziom, pozbawionym własnego domu, a nierzadko przez konfiskatę i całego mienia.

Zdaje się, że to czasy niedawne, że wszyscy je pamiętamy, a przecież i tu czas zaciera w pamięci owe dzielne postacie, których my młodzi słuchając, uczyliśmy się kochać te ideały, za które oni walczyli i znosili życie tułacze.

I młodzież dziś słucha, a może i nie wierzy, że u dziadka taka gościnność była, bo bierze miarę z siebie, że kiedy jemu, często lepiej się mającemu, gość, dłuższy czas bawiący robi różnicę, to cóż dopiero musiało być dziadom, o wiele mniej możnym.

Powinienbym tu może wspomnieć odznaczające się wtedy swoją ofiarnością i gościnnością domy, lecz uchybiłbym ogółowi. Wszyscy bowiem, jak i kraj cały, mieli tę zasługę w pierwszej połowie tego stulecia, z małym chyba wyjątkiem ludzi oddanych rządowi, których za to nazywano „Szwarcgelberami.“

Przy dosyć dobrych materyalnych stosunkach w Galicyi, humor był niezły, bawiono się wesoło, zapominając często niejeden ucisk, niejedną krzywdę, jaką rząd gorętszym rodzinom prześladowaniem, długoletniem więzieniem ojców lub braci wyrządzał.

Taką rodzinę panów Chrząstowskich w tarnowskiem chcę tu wspomnieć.

Szczepanowice nad Dunajcem słynęły bowiem swoim patryotyzmem, jakim matka, synowie i córki odznaczały się, i za który potem majątkiem, zdrowiem a nawet i życiem zapłacili.

Raz komisarza cyrkularnego, przybywającego do Szczepanowic z wojskową asystencyą, spotkała niemiła przygoda.

Pan komisarz, nie mogąc znaleźć ukrytych papierów, o których miał pewne doniesienie, że się tam znajdują, wpadł na myśl haniebną, że panna Chrząstowska, znana ze swej odwagi, ukryła je za gorsetem. Nie bacząc co robi,

zapomniał się tak dalece, że biedna kobieta, oburzona wyświadczoną zniewagą, w twarz go uderzyła. I kiedy o to w więzieniu przy śledztwie była pytaną, zeznała, że każda kobieta na jej miejscu to samo by uczyniła, broniąc swego honoru.

II.

Nie było tej łatwości w podróżach, jaką dziś mamy przez koleje; mało kto jeździł za granicę, bo była to kosztowna przyjemność. Owe kąpiele i cieplejsze miejsca lekarze rzadko komu ordynowali, chyba ludziom bogatym, mogącym sobie na tego rodzaju daleki wyjazd pozwolić, bo trzeba było swoimi końmi jechać mil kilkadziesiąt.

Młody człowiek, znający Paryż, Włochy, a nawet tylko Niemcy, nie był kawalerem tak powszednim, jakim jest dzisiaj, gdy wszyscy tanim kosztem po świecie jeżdżą.

Mniej jeżdżono, lecz za to lepiej znano cudze kraje, bo jeżdżąc końmi, nietylko te miasta, do których dążyli, poznawali, ale całe okolice, ludzi i ich zwyczaje.

Widziałem jeszcze karetę, którą baron Hejdel z Podola w końcu przeszłego stulecia z żoną i córkami do Bardyowa jeździł. Była to ogromna poczwórna landara, w której pośrodku wstawiał się stolik i grano wista.

Zapewne z Latacza jechało się kilkanaście dni, to taka rozrywka w długiej drodze była potrzebna.

Przypomina mi to figiel jego zięcia, pana Ludwika Świeżawskiego. Jechał on także swymi końmi, dwoma powozami z Rudnik, w stryjskiem, do Karlsbadu. A że w powrocie w Czechach, przeczekując upał w południe, w domu zajezdnym, będąc zmęczonym i zaprószonym kazał podać wody do umycia, oberzysta, widząc dwór liczny i pana w kontuszu, za wodę i ręcznik do otarcia bardzo drogo kazał sobie zapłacić. Oburzyło to pana Świeżawskiego i postanowił za to zdzierstwo Niemca ukarać. Wziąwszy jego

adres, ze Lwowa wysłał pocztą paczkę takiej wagi, ażeby adresat tyle zapłacił, ile więcej wziął za wodę i ręcznik, niż mu się słusznie należało. Zrobił to przez swoją słowność, bo zapowiedział, że tego nie daruje.

Wypić mógł wiele i był znany ze swej silnej głowy. I raz, kiedy w sąsiedztwie fetowano starostę cyrkularnego Zerboniego, szlachta podochociwszy sobie, miarę straciła w grzeczności, i pijąc zdrowie starosty stryjskiego, przyklękała na kolana, wyprawiając go do karety.

Pan Świeżawski jeden był po polsku ubrany, kiedy przyszła kolej na niego, wszystkich oczy zwrócił na siebie i uwagę starosty. Lecz on, świadom siebie, pijąc stojący, przemówił w te słowa:

— Proszę mi darować, klękam tylko przy konfesyonale i klęczeć będę przy moim ślubie.

Wszystkim to przemówienie się podobało i resztę gości poszło za jego przykładem. Jednemu zapewne panu staroście nie było to do gustu, i musiał mu to kiedyś dać uczuć, bodaj *Strafbotem*, na jaki wtenczas bardzo łatwo można było zasłużyć.

III.

W tym samym Stryju, w czasach już nieco odmiennych, był starostą pan Kube, który żyjąc z obywatelstwem, chciał poznać się z panem Pietruskim w Podhorodcach, znakomitym ornitologiem i naturalistą, którego zbiory ptaków, padalców, wężów oraz różnych zwierząt, słynęły w świecie uczonych.

Zamówił się więc do niego z wizytą, i przyjechał ze znajowymi pana Pietruskiego.

W liczbie osobliwości był kruk gadający, którego właśnie był najciekawszy widzieć pan Kube.

Ptak chimeryk, nie zawsze był posłuszny swemu panu, i jak na złość wtenczas był w złym humorze. Wszelkie na-

legania nie pomagały. Dopiero znudzony, zobaczywszy za plecami panów stojącego chłopca, który miał dozór w tej menażeryi i palił w piecu, a na imię miał Kuba, krzyknął swoim uczonym głosem:

— Kuba, Kuba, o jaki ty dureń.

Na to niespodziewane odezwanie ptaka, całe towarzystwo oniemiało, nie wiedząc, co ten frazes znaczy. Starosta choć źle mówiący po polsku jako Niemiec, przecież tyle znał język, że kruka zrozumiał, poczerwienił się i zmięszał.

Gospodarz dopiero, ochłonąwszy z przerażenia, jakiego w pierwszej chwili doznał, wyjaśnił rzecz całą, że chłopiec Kuba prawie codzień słyszy napomnienia w tych właśnie słowach, jak je kruk wygłosił, za nieporobione porządki w salach i za złe zapalanie w piecach.

Dlatego niewątpliwie słysząc tak często gniew na chłopca, zobaczywszy go, przypomniał sobie, i z tą swoją nauką popisał się.

Starostę to przekonało, i jak twierdził, bardzo ubawiło, choć nie wiem, czy nie miał podejrzenia, że figiel był ułożony.

Podhorodce długo należały do rodziny Pietruskich. Ojciec pana Konstantego, naturalisty, dożył późnego wieku, i w młodości był szambelanem na dworze Stanisława Augusta w Warszawie, i nie wiem nawet, czy nie był w jakiej ambasadzie, bo do śmierci mówił o Kopenhadze i do niej się wybierał. O córce zaś swojej z trzeciego małżeństwa mawiał staruszek, że da jej w posagu dziesięć tysięcy „czontów“, tak bowiem dukaty nazywał, i skoro tylko pójdzie za mąż: ja mojego zięcia, zaraz workiem w łeb!

Powiadano jednak, że w starości pan szambelan miał już słabą rękę, i zięcia nie skaleczył.

Podhorodce, położone w górach nad Stryjem, słynęły jako duży i intratny majątek z pięknymi lasami, w których skały nieraz przez turystów są zwiedzane i były opisywane.

IV.

Pomimo różnych czasów, w których lata były złe i dobre dla gospodarzy, majątki dłużej trzymały się rodzin, nie wychodziły tak łatwo z nich, jak teraz. Dlatego i postać kraju inaczej wyglądała, bo nietylko na własnym kawałku ziemi myśmy sami gospodarowali, ale i dzierżawy były w polskich, szlacheckich rękach.

Dzierżawy przechodziły często z ojca na syna, i na nich się dorabiano zwykle dużej fortuny.

Kapitału mniejszego niż teraz potrzeba było do prowadzenia nawet dobrego gospodarstwa, więc i z mniejszymi zasobami brano duże, rentowne dzierżawy.

Ojciec, dzielący dzieci, jeżeli dał synowi dwa do trzech tysięcy dukatów, znaczyło to ładną pomoc, i młodzieniec rządny uważany był za dobrze się mającego.

Dziś kasta tych dzierżawców-szlachty, potraciwszy majątki, prawie nie istnieje. Są tylko przeważnie żydzi, i ci tracą przy wygórowanej cenie dzierżaw.

I to, co dawniej mawiano: „małe dziedzictwo, wieczne kalectwo“, ustąpiło, bo każdy mniej znaczny woli mieć własny kawałek ziemi, choćby obdłużony, niż kapitał w niepewnej i drogiej dzierżawie ryzykować.

Dawniej, przy trudnym kredycie, bo nietylko bankowych instytucyj nie było, a Towarzystwo kredytowe ziemskie później powstało, był tylko kredyt osobisty, na hipotekę, gdyż wekslów nie znano, pieniędzy mniej było i wartość ich była większa niż dziś, a ziemia tańsza.

Dzierżawcy należeli do ludzi swobodnych, dobrze się mających, o których właściciele sami się ubiegali. I oni to potem dorobiwszy się, kupowali majątki. A jako równi stanem, nie stanowili różnicy w społeczeństwie.

Były wypadki, że szlachcic zadłużywszy wieś, sprzedał ją, i potem, trzymając od nowego właściciela, dorobił się tyle znowu, że ją odkupił.

Poznawszy Podole w pierwszej połowie tego wieku, widziałem stosunek, że dzierżawca dużego majątku lepiej żył, i częstokroć więcej sobie pozwalał zbytku, niż zadłużony dziedzic, na utrzymanie siebie i domu, i to go nie rujnowało, a właściciela nie dziwiło, szczególnie, jak były dobre lata i zboże płaciło. Bo nie zawsze, jak dziś, ceny były równe. I dlatego mawiano: „szlachcic na Podolu między stertami boso chodzi“, bo nieraz nie miał za co butów kupić.

Potrzeba było w biedzie cierpliwie czekać, nim przyjdą lepsze ceny, które w jednym roku wszystko wynagrodzą.

Żydom nie wolno było, nietylko nabywać, ale i dzierżawić ziemi. Dlatego były częste wypadki, że sami kupcy, w których ręku był cały handel zbożowy, widząc człowieka uczciwie i gobrze gospodarującego, chętnie dawali mu pieniędzy, by go utrzymać przy dzierżawie w tanich latach.

I nieraz taki dobry a uczciwy gospodarz, mając otwarty u kupców kredyt, robiąc wielkie interesa na sprzedaży naprzód wódki, kupował potem wsie, jedną po drugiej, jak to czynił w tarnopolskiem pan Antoni Pajgert z Krzyweńkiego, posiadający kredyt i niezwykły rozum. I gdyby był umiał potem zastosować się do zmienionych stosunków w kraju, które kredyt usunęły, bo sami już kupcy poczęli majątki kupować, byłby zostawił dzieciom dużą fortunę, składającą się z czterech najpiękniejszych wsi podolskich. Takim był i pan Kopestyński i wielu innych w tym czasie.

Jakiż to dziś smutny rachunek staremu człowiekowi przedstawia się, kiedy zliczy rodziny znajome, które majątki sprzedały, a te, które nabyły, przez te wyżej pół wieku.

Ubytek to wielki i dla nas znaczący, bo któż nabył tę polską ziemię, jeżeli nie po największej części ludzie obcy, bez poczucia narodowego, jak tu się stało na Podolu, gdzie właśnie ówcześni kupcy zbożowi nabyli najpiękniejsze, duże majątki.

Inaczej ta część kraju, tu na Rusi wyglądała, kiedy ją pierwszy raz poznałem.

Mało gdzie stał większy dworek. Były to przeważnie niegdyś dobra wielkich rodów, jak: Potockich, Lubomirskich, Rzewuskich, Lanckorońskich i w końcu Poniatowskich, w których przed laty mieszkali ich administratorowie, a dawniej jeszcze były tylekrotnie narażone na straszne napady Tatarów i Turków, niszczące nietylko folwarki, ale i całą ludność.

Pod słomianą strzechą stały tak małe dworki, o jakich to jeszcze Karpiński, opisując powrót z Warszawy na wieś, malowniczy daje obrazek:

„Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja! —
Wszystko tak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło“,

jak i duże dwory, bo dopiero powoli poczęto się lepiej zabudowywać i stawiać pałace. Słoma nie tylko dachy kryła, ale służyła powszechnie za opał i potężnego rozmiaru piece w pokojach opalała.

Jagielnice od hrabiów Lanckorońskich trzymali przez lat bardzo wiele panowie Rozwadowscy. Rodzina zacna, wielu miała przyjaciół, prowadziła więc dom otwarty. Stary pan kapitan Rozwadowski do tego stopnia parządek lubił w gospodarstwie, iż dwór duży, ładnie słomą poszyty, kazał w lesie od ptactwa oganiać chłopcom, do tego umyślnie przeznaczonym, by mu strzechy nie psuły.

Na podobne grymasy przy taniej służbie łatwo można było sobie pozwalać.

V.

Nie zapomnę tego wrażenia, jakiego doznałem, przyjechawszy z krakowskiego do mego przyrodniego brata, mieszkającego w Rosochowaćcu, w dobrach książąt Poniatowskich, niedaleko Zbaraża.

Była to wieś duża podolska, należąca do klucza skałackiego. Podwórze w niej, na którem stały małe dwa domki mieszkalne, dwie stajnie, stodoła i szpichlerz, miało obszaru ośm morgów i leżało nad samym stawem, a było tylko obwiedzione parowem, czyli wysokim wałem, z ziemi i gnoju usypanym, i zamknięte tak zwaną „lasą“, z drążków zrobioną.

Zagajenie zaś tej pustej i dużej przestrzeni składało się z jednej małej topoli i dwóch bzów w ogródku przy domu, który mieścił w sobie cztery niewielkie pokoiki.

Widok takiego pustkowia rażąco odbijał od ładnych okolic Krakowa, w jakich się wychowałem i z jakich świeżo do brata przybyłem. Nic więc dziwnego, że ten kontrast żywo utkwił w pamięci młodego chłopca, i że go tu wspominam.

W sąsiedztwie Rosochowaćca posiadała ładny majątek Węgierka czy Kroatka, pani Turzańska i w nim czasem przebywała, bo stale mieszkała na Węgrzech.

Syn jej, na odgłos ruchów rewolucyjnych w Niemczech w roku 1848, zaciągnął się do legionu jenerała Mierosławskiego i pod nim potem walczył w Poznańskiem. Po upadku powstania, po przegranej pod Miłosławiem, powrócił do matki, z całem swem umundurowaniem, co naturalnie w okolicy zrobiło wrażenie, i na wieść o tem przyjechał do Supranówki, gdzie bawiła pod tę porę pani Turzańska, komisarz cyrkularny z Tarnopola, Klein, ażeby wyrozumieć dalsze zamiary młodego, zapalonego młodzieńca.

Zabawna była odpowiedź pana Turzańskiego, źle mówiącego po polsku, a nie chcącego odpowiadać po niemiecku urzędnikowi, wrogo, jak wszyscy wtenczas, usposobionemu dla nas Polaków.

Pytał się pan Klein, z udaną ciekawością, ile każda część munduru kosztuje. I na widok białego orła na kasku ułańskim zapytał się z ironicznym uśmiechem:

— A ten biały ptaszek co wart?

Oburzyło to Turzańskiego i z gniewem odpowiedział:

— Dla takiego sem jak pan, nic nie wart, lecz dla takiego sem jak ja, to wart miliony.

Powiedziawszy to, odwrócił się i odszedł. A że to były pierwsze tygodnie po ogłoszeniu w Wiedniu konstytucyi, więc uszło mu to bezkarnie.

VI.

Chwile tej pierwszej wolności w Galicyi, po długim ucisku, wszystkich w szał wprowadzały, a niektóre słabsze umysły do ekscentryczności się posuwały.

Pamiętam pana Pietrzyckiego w Tarnopolu, który poniósł stół machoniowy z salonu do kuchni dla kucharza, a stół prosty z kuchni postawił w salonie przed kanapą, twierdząc, że taka równość nie w samem słowie, ale we wszystkiem być powinna, a wtenczas przekonamy, że szczerze jej pragniemy. — O równości i demokracyi rozprawiano wiele. Jednak dlaczego pan S. miał mnie, młodego wyrostka, za arystokratę, nie wiem, bo niczem do tego powodu nie dałem, a nawet w istocie nim nie byłem.

Przyjechawszy z bratem do niego, zastaliśmy większe towarzystwo, a że to już było w jesieni, więc ogień na kominku się palił.

Gospodarz widząc, że wziąłem do ręki blaszaną puszkę leżącą na stole, odezwał się do mnie:

— Pusta! zapewne nie przypuszcza pan, że dziś na tym kominku, dyplom mego szlachectwa, jaki w niej był schowany, spaliłem. Prawda, pan byś tego nie zrobił?

Powiedzenie takie niespodziewane wydało mi się więcej jak śmiesznem, powiem nawet, że mnie oburzyło, bo wyglądało na żart niedowcipny, odpowiedziałem więc:

— Ma pan racyę, nie zrobiłbym tego, bo należę do tej szlachty, którą jeszcze Mieczysław lub Bolesław w łaźni na rycerzy pasował, a wtenczas dyplomów nie dawano.

Szlachcic nic nie odpowiedział, tylko poczerwieniał z gniewu. I zawsze potem to powiedzenie, jako urazę, wyrządzoną przez przypomnienie różnicy szlachectwa, dawał mi uczuć, co było niesłuszne, bo ja nie w chęci ubliżenia zacnemu patryocie, jakim był pan S., ani nawet zaznaczenia różnicy, ale poprostu wskutek niedowcipnego powiedzenia dałem małą naukę, że rzeczy, nie przez nas samych nabytych, nie wolno lekko cenić i poniewierać.

Postawa gwardyi narodowej robiła wrażenie wojska regularnego, a mundury o barwie narodowej, granatowe z amarantowymi wypustkami, były dla nas, spragnionych tego widoku, bardzo miłe.

Dowództwo nietylko we Lwowie, ale we wszystkich miastach było powierzone samym dawnym wojskowym polskim, jeżeli nie z czasów jeszcze Napoleona, to z roku 1831.

W Tarnopolu był dowódzcą również stary żołnierz, bez oka, major Rozwadowski z Turówki.

Smutny mój pobyt w tem mieście przez chorobę matki, która się śmiercią skończyła, był zawsze o tyle interesującym, że go z przyjemnością wspominam. Bo chociaż do gwardyi nie należałem, za to brałem udział w życiu narodowem, należąc do kancelaryi rady narodowej tarnopolskiej, pod kierunkiem zacnego i zdolnego sekretarza Ignacego Mochnackigo.

W skład „rady narodowej“ wchodzili, przewodnicząc jej z kolei, panowie: Kazimierz Grocholski z Rożysk, późniejszy minister; Erazm Korytowski z Płotyczy, Stanisław Turzyński ze Skoryk, Kalasanty Szeliski z Nartarowa, Kazimierz Szeliski z Chodaczkowa, Leopold hrabia Starzeński z Didkomia, Józef hr. Starzeński i Jan Fedorowicz z Grzymałowa. Wszystko ludzie rozumni, zapaleni patryoci.

Straszna cholera w miesiącu sierpniu cały Tarnopol wypróżniła, bo kto nie uległ śmierci, uciekał z miasta. Tylko ci zacni mężowie, należący do składu Rady narodowej, nie ustąpili z placu, pełniąc swój obywatelski obowiązek.

Każdy cyrkuł miał taką samą Radę narodową, która wszystkie sprawy, wchodzące w zakres życia narodowego, dozwolone konstytucyą, załatwiała.

Mając taką odezwę, zaraz po bombardowaniu Lwowa w wymownych słowach napisaną i podpisaną przez zacnych dwóch obywateli: Adama Gorczyńskiego i jego siostrzeńca Cezara Hallera, miło mi jest tu ją przytoczyć, bo przedstawia formę urzędową Rady narodowej i stan ówczesny kraju, podobny do dzisiejszego.

Drukowany oryginał brzmi:

Wydział wewnętrzny. Wadowice 2. listopada 1848.
Wolność, Równość, Braterstwo.
Rada narodowa obwodu wadowickiego.
Do Przewielebnego Duchowieństwa obwodu.

Obywatele! w teraźniejszym stanie kraju naszego, gdzie nie ogólne dobro tylko, ale nawet osobiste bezpieczeństwo każdego mieszkańca równie łatwo słowem jak uczynkiem narażone być może, świętym jest każdego obowiązkiem, nietylko wystrzegać się wszystkiego, coby spokój publiczny narazić mogło, ale owszem całego dokładać starania o tegoż utrzymanie.

Tymczasem są ludzie niechętni krajowi, ci pragną i pracują w to (*sic*), ażeby obałamuceniem wieśniaka poburzyć go, i tym sposobem zawichrzyć znowu kraj nasz, (nie jest to płonny domysł, ale pewność, uzasadniona na zeznaniach wielu, na świadectwach prawomocnych). Ale nadto doszło do wiadomości Rady nadzorczej wadowickiej, iż wskutek objawionej przez niektórych duchownych niechęci dla Rady, a nagany Gwardyi narodowej, instytucyi przez Najjaśniejszego Pana zagwarantowanej, lud, który na wszystko, co nowe, nieufnie patrzy, tem więcej się zatrważa, a z początkowej trwogi przechodzi już do groźby, spokojowi publicznemu niebezpiecznej; w takim stanie rzeczy obracamy się do Was, szanowni Kapłani! Waszej opiece i przewodnictwu macie powierzony lud, którego moralność, podkopywana dzisiaj przez burzycieli, Waszem słowem zostanie podpartą i utrwaloną; wzywamy Was zatem i błagamy, nie opuszczajcie żadnej sposobnej chwili nauki i oświecenia ludu, uważajcie na jego usposobienie, do niej zastosujcie się w każdej przemowie; prostując zdanie i tłómacząc mu znaczenie gwardyi, przez Najjaśniejszego Pana ustanowionej; nie tylko u nas ale wszędzie:

ustanowionej nie na szkodę niczyją, ale przeciwnie, na obronę kraju, utrwalenie spokoju i konstytucyi, której pierwszym owocem jest darowanie pańszczyzny i zniesienie poddaństwa; która to konstytucya w dalszym swojem rozwinięciu wiele innych odmian pomyślnych prowadzi dla ludu, np. zniżenie ceny soli, ulgę w akcyzie, nowy sposób rekrutowania, mniej uciążliwy i t. p.

Wierność Najjaśniejszemu Panu, poszanowanie praw i prawnych władz rządowych, a przytem korzystanie z praw i swobód nam nadanych, celem podniesienia ogólnego dobra kraju, to są zasady, których się trzymamy, od których nie odstępujemy; że są takie, objawiamy je publicznie. Szanowni kapłani! te zasady są także Waszemi, a zatem droga nasza powinna być i Waszą, razem z nami pracujecie w sprawie dobra, ogółu się tyczącej; a gdy dzisiaj współdziałanie Wasze korzystne i zbawienne być może, — że takiego nie odmówicie narodowi, jesteśmy przekonani, — o takowe współdziałanie prosimy.

Sekretarz: *C. Haller.* Prezydujący: *A. Gorczyński.*

Po nieszczęśliwych wypadkach w roku 1846, lud rozbałamucony potrzebował większej i staranniejszej opieki duchowieństwa, niż doznawał od niego w obwodach zachodnich. Dlatego Rada wadowicka czuła się w obowiązku przypomnieć, co się od niego należy. Ten sam zarzut, po upływie pół wieku, i dziś zrobićby można, nam szczególnie samym, bo wszyscy tego czujemy potrzebę.

VII.

Konstytucya najważniejszą zmianę przyniosła zniesieniem pańszczyzny, dawno przez szlachtę projektowanem i oczekiwanem, a którą teraz rząd uprzedził.

Krzywda to wielka, jaką nam robią nasi wrogowie, a przytem nieznajomość historyi, że nie przyznają nam w usamowolnieniu pierwszeństwa, ale owszem obwiniają nas o chęć utrzymania ludu w ucisku i niewoli.

Wszak szlachta jeszcze w konstytucyi 3. maja uchwaliła usamowolnienie włościan, i przy każdej sposobności po

upadku narodowym tego się dopominała, uważając to za swój kardynalny obowiązek.

I tu także pierwsza, przed manifestem rządu, zjechawszy się gremialnie do Lwowa, zrzekła się pańszczyzny, jako zawsze i wszędzie gotowa do poświęcenia, nietylko życia, ale i mienia, dla dobra ukochanej ojczyzny.

Akt takiej darowizny był drukowany na dużym arkuszu, grubemi czcionkami, zatytułowany do gromady.

Drukowany oryginał brzmi:

Do Gromady!

Wiadomo jest Wam już po części, że Najjaśniejszy Pan, Cesarz i Król nasz, dał krajowi naszemu nowe prawa i swobody na dniu 15. marca b. r.

Prawa te i swobody nazywają się Konstytucyą, i przyniosą szczęście i pomyślność dla całego kraju i dla wszystkich jego mieszkańców; bez różnicy wiary i wyznania będą wszyscy przed prawem równi, jak są równi przed Bogiem.

Odebrawszy tak wielką łaskę od Monarchy naszego, i pragnąc tego z serca, żeby i dla Was sprawiedliwość w świecie wymierzoną była, podali na dniu 18. marca b. r. Obywatele ze wsi i z miast prośbę do Monarchy naszego, aby gromady odtąd już nie robiły pańszczyzny i żeby wszelkie powinności poddanych ustały.

Pewni jesteśmy tego, że Najjaśniejszy Pan, kochając nas i Was równie, wyda na naszą prośbę prawo, które dotychczasowe stosunki poddańcze rozwiąże, i na mocy którego nie będziecie robili pańszczyzny, ani odbywali powinności poddańczych. Chcąc jednak dać Wam dowód życzliwości naszej, oświadczamy Wam przed Bogiem i sumieniem, iż od dnia dzisiejszego nie żądamy od Was już żadnych powinności.

Prawa może stanowić tylko Monarcha razem z całym narodem; przekonani tedy jesteśmy, iż wysłucha naszej prośby, że wyda prawo, że zniesie pańszczyznę, i że odtąd jako bracia i sąsiedzi obok siebie żyć będziemy w zgodzie i w miłości.

Jako w tem żadnej zdrady i żadnego fałszu nie ma, dajemy Wam to na piśmie dla każdej Gromady z osobna i przy świadkach podpisuje to oświadczenie każdy właściciel majątku.

Od dziś dnia tedy nie będziecie robili pańszczyzny. Wiosna jednak idzie i nie godziłoby się opuszczać roli, nie orać

i nie siać, kiedy Bóg nam błogosławi, kiedy nas osadził na roli, kiedy ziemia przy błogosławieństwie Boskiem i sprawiedliwości ludzkiej lepiej odtąd będzie rodziła. Dlatego wzywam Was, aby się Gromada naradziła z sobą, a naradziwszy się, ułożyła się ze mną o cenę każdej roboty, ciągłej czy pieszej, licząc na pieniądze dzień każdy; bo odtąd wszystkim tym, co do roboty dobrowolnie wyjdą, płacić się będzie takowa codziennie.

Pismo oddaję w ręce Gromady, aby nie było myłki i nieporozumienia, o co tu chodzi.

A teraz, jak po wszystkie wieki, chwała niech będzie Bogu na wysokości, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi!

Dan w . . dnia kwietnia 1848 roku.

VIII.

Usamowolnienie przyniosło przewrot w ustroju stosunków gospodarskich. Jednak wartości ziemi nie obniżyło.

Dzierżawy nawet podniosły się, bo przybył nowy zastęp ludzi, w konkurencyi do dzierżaw dotąd nieznany. Żydom pozwolono gospodarować i majątki kupować, co przedtym było im niewolno.

W krakowskiem, w lat trzy potem, za wioskę Chrząstowice, należącą dawniej do majątku mojej matki, za pańszczyzny wypuszczaną za 600 fl. m. konw., zapłacono więcej niż dwa razy tyle, bo dano 1500 fl. m. konw.

Zaraz gospodarstwa się podniosły, poczęto lepiej i kosztowniej gospodarować. Sprowadzono poprawne rasy bydła z zagranicy, powiększono inwentarze robocze, i poczęto wyrabiać coraz lepsze młocarnie, pługi i inne narzędzia gospodarskie, przedtem nieużywane i nawet nieznane.

W Biłce pod Lwowem, w dobrach hr. Cabogowy, była fabryka pierwszych młocarni w Galicyi, p. Helmana.

Wprowadzono także różne nasiona, jak koniczynę, lucernę, a później rzepaki.

Nikt nie używał, jak dziś, sztucznych nawozów. Nawet wapno i gips nie były znane jako pognój dla roli.

I kiedy młodzieniec, wróciwszy ze szkoły rolniczej z zagranicy, namawiał ojca, by świeżo zaprowadzoną w rotacyi koniczynę kazał gipsować, on ofuknął go i powiedział:

— Żałuję mój kochany pieniędzy, które łożyłem na ciebie — skoro cię tylko tyle nauczono.

Dopiero, kiedy syn dowcipnie go przekonał, wypisawszy przy drodze, na łanie koniczyny gipsem „głupiec“, ojciec, przeczytawszy odznaczające się słowo bujnością i wzrostem, zrozumiał figiel syna obrażonego. I wtenczas przyznał, że nie naprożno wysyłał go po rozum do szkoły niemieckiej, i że nie jest „głupiec“.

W Galicyi nie było jeszcze szkół rolniczych. Słynęły tylko powagi ze swego wzorowego gospodarstwa, do których w razie potrzeby po radę się udawano: jak Leon hr. Stadnicki, Kazimierz hr. Badeni, Józef Jabłonowski z Rawy, Piotr Romaszkan, Waleryan Krzeczunowicz, na Podolu Karol Zagórski, w Wadowickiem Karol baron Larys, Wojciech Brandys i wielu jeszcze innych dobrych gospodarzy.

Do takich dobrych gospodarzy w tarnopolskiem liczono starego napoleończyka, pułkownika Czosnowskiego w Horodyszczu, który wsławił się, rozpoczynając zawód wojskowy, śmiałą brawurą w roku 1809; bo przyjechawszy ze strzelcem, jako oficer ułanów do Tarnopola, skłonił całą załogę austryacką do ustąpienia z miasta i objął Tarnopol sam w imieniu cesarza Napoleona.

Powróciwszy po skończonych wojnach do domu i zamieniwszy miecz na lemiesz, pułkownik wzorowo gospodarował, i jako już niemłody człowiek ożenił się z piękną i rozumną panną Modestą Cieńską i swoje Horodyszcze uczynił jeszcze świetniejszemi.

IX.

Lasów nie niszczono wówczas przez spekulacyę i potrzebę ratunku, jak to dziś się zdarza; były tylko nieporządki i czasem nadużycia leśniczych.

W tarnopolskiem miał majątek wiedeński adwokat, pan Pöltemberg, nabyty przy rozbiorze wielkiej fortuny księżnej marszałkowej Lubomirskiej: wsie Krasne, Okno i miasteczko Tołste, których lasy leżały w pasie gór „Miadoborskich“; drzewostan w nich małą wówczas miał wartość, łatwo mógł być nadużyty.

W sąsiedztwie zaś, z tej samej dawnej całości klucza grzymałowskiego, sam Grzymałów, ze starożytnym zamkiem posiadał p. Antym Nikorowicz, człowiek bardzo miły, w obejściu niezmiernie grzeczny, u którego pan Pöltemberg, przyjeżdżając w lecie do Galicyi, bywał, i zawsze się chwalił, jak jego oficyaliści, pomimo że są cudzoziemcami, dobrze mu gospodarują.

Nikt mu tego nie zaprzeczał, choć opinia krążyła inna, dopiero fatalny i arcykomiczny wypadek przekonał go o niej.

W dzień o pięknej pogodzie, pan Nikorowicz z dziećmi i z licznem towarzystwem wybrał się na daleki spacer do swoich lasów, w tym samym pasie gór leżących, pełnych uroczych miejsc, starych lip i ogromnych pasiek z tysiącami uli, jakie właścicielom majątków znaczny dochód czyniły, tak, że te poczciwe, pracowite pszczółki, wydzierzawiając majątki, w dochód dzierżawcom liczono.

Na ładnej polanie, z której widok szeroko rozciąga się na przeciwny brzeg Zbrucza, rozgościł się pan Nikorowicz ze swojem towarzystwem i z niemałem zdziwieniem ujrzał nadjeżdżającego sąsiada.

Obydwie strony nie mogły zrozumieć, co to zdybanie znaczy, dopiero, kiedy pan Pöltemberg wyraził swą radość, że w swoich lasach ma tę miłą niespodziankę, pan Nikorowicz ze znaną swoją uprzejmością powiada, że i jego to mocno cieszy, ale nie on tu jest gościem, ale ma gości u siebie.

Usłyszawszy to pan Pöltemberg zwraca się do swoich oficyalistów, którzy z nim przyjechali, ażeby zrobić wymówkę, że się pomylili; lecz jakież nagle powstaje zdziwie-

nie, kiedy spostrzegł uciekających. Począł więc gonić i wołać za niemi po niemiecku:

— Ależ moi panowie, gdzie jest mój las? gdzie jest mój las?

I wtenczas przekonał się, że był przez długie lata oszukiwany, gdyż niszcząc lasy, wywozili go do lasów grzymałowskich, pokazując je za jego własne.

I po tej wizycie sprawdziło się na Niemcu polskie przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie“, bo zaraz administracyę lepszą zaprowadził.

O ile pan Pöltemberg przyjeżdżał tylko w lecie do Galicyi, to jego córka panna Wilhelmina stale mieszkała w Krasnem, słusznie tak się nazywającej miejscowości, przez swoje piękne położenie i ładne domu urządzenie. Nawet służba pokojowa słynęła z tresury, co wprawiało w zazdrość liczne sąsiadki. I kiedy raz zapytana, jak nauczyła tutejszych ludzi takiej dobrej i zręcznej usługi? odpowiedziała:

— Bardzo łatwo to mi przychodzi, bo mój lokaj codziennie tak mnie samej usługuje, i tak jest ubrany, jak gdybym miała na obiedzie pana gubernatora ze Lwowa. A u was przeciwnie, wtenczas dopiero bierze kamasze i rękawiczki wkłada, jak goście nadjeżdżają.

Panna Wilhelmina małego była wzrostu, szczupła, żywa i bardzo gościnna. Powagi jej dodawał siwy kolor włosów, gdyż kochając bardzo brata, na wiadomość o jego nagłej śmierci, nie mając lat trzydziestu, przez jedną noc osiwiała.

Drugi jej brat był jenerałem w powstaniu węgierskiem w roku 1849 i uległ losowi, jaki tylu jego kolegów spotkał, został stracony w Aradzie.

Rodzeństwo bardzo się kochało i jenerał Pöltemberg przed wykonaniem wyroku śmierci przez ówczesnego okrutnego wielkorządcę w Węgrzech, jenerała Hainota, poznał się z oficerem rosyjskim, rotmistrzem Podoskim i prosił go, by przyjął konia od niego na pamiątkę, a pałasz aby oddał siostrze jego, pannie Wilhelminie, przechodząc przez Galicyę.

Wspominam o tem dlatego, że to mi przypomina dziwną przygodę.

Wyjechawszy w Rosochowadźcu na trakt, idący do Podwołoczysk, ażeby się przypatrzeć idącym pułkom armii rosyjskiej, poznałem pana Podoskiego, jadącego na bułanym koniu. — Klacz zaś moja, na której wyjechałem, była świeżo kupiona od pułkownika dragonów, i kiedyśmy długo ze sobą rozmawiali, spostrzegł pan Podoski, że sztab jenerała Salcena, do którego on należał i pułk jego ułanów, bardzo się oddalił. Pożegnawszy się więc ze mną, popędził galopem, ażeby jeszcze przed granicą pułk dogonić. Co zobaczywszy moja klacz uniosła mnie za nim, i dopiero po wielkim trudzie udało mi się ją osadzić i odwrócić od widoku idącego wojska, lecz zaraz poczęła się wspinać i skakać, nareszcie wspięła się i padła ze mną na wznak.

Szczęście moje, że lecąc z nią spadłem na bok tak, że ciężarem jej nie zostałem przygnieciony, a kiedy się potem zerwała, poczęła się trząść i oczy zawracać, a nakoniec uderzywszy sobą jeszcze raz o ziemię, zdechła.

Była to śliczna klacz gniada, blisko 17-tej miary.

Żołnierze od trenu zobaczywszy ten wypadek, przybiegli do mnie, ażeby ją obdzierać, i krzycząc że jest „kazienną“ odcięli ogon, grzywę i podkowy oderwali, — i gdyby nie niespodziewana pomoc mojego brata, który, jak gdyby przeczuciem wiedziony, nadjechał, byliby i siodło z munsztukiem zabrali, bo ja, młody chłopak, nie mogłem się tej zgrai obronić.

Czy widok wojska wywołał tę jakąś tęsknotę u biednego zwierzęcia? czy może była to choroba? tego nie wiem.

Przechód armii rosyjskiej, idącej na pomoc Austryi przeciw Węgrom, odznaczał się wielką karnością, i jak starzy napoleońscy żołnierze mówili, niezwykłym porządkiem armii w marszu.

Nigdzie ta stutysięczna siła, w swoim przez Galicyę pochodzie, tam i napowrót, idąca kilku szlakami pod do-

wództwem samego cara Mikołaja I., nie zrobiła najmniejszego nadużycia, wszędzie wzorowo się zachowując.

Pułki kawaleryi, szczególnie dragonów, swoją piękną postawą, ogólnie się podobały. Każdy pułk miał jednej maści konie, prawie szesnastej miary. Wyborowe pułki dragonów były ulubione cesarza, a konie pod trębaczami i na skrzydłach kosztowały po kilkaset rubli. Chętnie je, powracając, oficerowie sprzedawali.

Oficerowie prawie wszyscy, jeżeli nie mówili, to rozumieli po polsku mówiących, i języka tego nawet między sobą używali.

W Rosochowadźcu stojąc na kwaterze, młodziutki oficer, świeżo z junkra awansowany, książę Gorczakow, mając Polaka rotmistrza Suzina, śmiał się z jego dużych wąsów:

— Ten wąs, nad pannami się trząsł, a ten gładki — pokazując na swój, ledwo znaczny — wabi mężatki.

Na zapytanie, skąd tak dobrze język nasz rozumie, odrzekł:

— A przecież ja wychowałem się w Polsce, piękne warszawianki mnie niańczyły.

X.

W czasach znacznie dawniejszych, w roku 1806, kiedy cyrkuły tarnopolski i zaleszczycki należały do Rosyi, przydarzyła się historya miłosna u państwa B. Stał w tej okolicy pułk dońskich kozaków. Kozak Janów, ładny i młody człowiek, zakochał się z pannie B. i wykradł ją. Ślad za nim zaginął mimo wszelkiego poszukiwania rodziców. I potem, lata mijając, wymazały w pamięci ludzkiej ten romansowy wypadek, a w sercach biednych rodziców czas ukoił żal za dzieckiem. Dopiero, kiedy już zupełnie zapomnieli i oswoili się z tą myślą, że córki nie zobaczą, w lat blisko czternaście ujrzano idący drogą, niezwykły tabor różnych kolasek, powózek i koni.

Dążył on właśnie do Grzymałowa, bo był to pułkownik Janów z żoną i dziećmi.

Z rodziców ojciec już nie żył, tylko matka staruszka mieszkała z córką w małym dworku w Grzymałowie.

Radość na widok straconego dziecka była niezmierna, bo nietylko staruszka odzyskła córkę, ale i wnuki.

Drużyna ta składała się z kilku chłopczyków i ładnej panienki, a miasteczko niewielkie zapełniło się ludźmi i końmi, bo państwo Janów bawili tu kilka miesięcy z całą rodziną i liczną służbą.

Przyjechał potem i najstarszy ich syn, oficer z gwardyi petersburgskiej i mąż córki, książę Wiazemski.

Prezentów przywieziono pełno dla całej rodziny niezamożnej, w koniach i innych przedmiotach.

Córce było na imię Lizcńka, była to śliczna i zgrabna dziewczynka, z czarnemi, pełnemi wyrazu oczami, z wielką gracyą tańczyła kozaczka i inne swoje narodowe tańce razem z braćmi.

Zapytana raz, czy jej się u nas podoba, odpowiedziała, że bardzo jej się podoba, tylko duszno, wiele jest ludzi, a nie ma takiej wody, jak ich Don.

Pułkownik, będąc raz na obiedzie danym dla niego, po różnych toastach powstał i prosił gospodarza, ażeby mu pozwolono wypić zdrowie cara. Naturalnie pozwolono mu, a on w zamian za to zapewniwszy, że nie weźmie za złe, jeżeli to zdrowie nie będzie wypite, sam jeden je wypił.

XI.

Prześladowanie w Galicyi w roku 1849, ledwo zakończono amnestyą, przynoszącą wolność mnóstwu więźniom i spokój rodzinom. Po upadku powstania w Węgrzech, po zawieszeniu konstytucyi w Wiedniu i zaprowadzeniu stanu oblężenia w całej monarchii, rozpoczęło się na nowo prześladowanie młodzieży.

Goretsza młodzież, biorąca udział w Węgrzech, udała się za granicę na tułactwo, jak: Aleksander hr. Fredro, Kornel Szczepański, Stanisław Chojecki, Władysław Dzwonkowski i wielu innych; nawet żołnierze z roku 1831, jak: Konstanty Matczyński, Seweryn Korzeliński z Galicyi, dzielili ten los tułaczy; a z tej młodzieży, którą złapali, lub sama oddała się w ręce, więcej winnych zaciągano do służby wojskowej w „karnych kompaniach“, mniej winnych do innych pułków; ucisk na nowo się rozpoczął i więzienia zapełniły.

W wadowickiem zdarzył się wypadek arcyzabawny i głośny dosyć w owym czasie.

Do zacnych państwa S., mających majątek przy gościńcu, którym szły wszystkie transporta, w późnej już jesieni przyszedł do dworu mandataryusz, prosząc o żywność i trochę odzieży dla młodego chłopca, którego w tej chwili „szupasem“ do niego przyprowadzili. Naturalnie zaraz jej udzielono, a skoro państwo S. ujrzeli ładnego i wielce zbiedzonego młodzieńca bez odzieży i prawie boso, poczęli się wszyscy litować, a litość ta wzmogła się jeszcze więcej, gdy się dowiedziano, że jest zbiegiem z Komarna z „karnej kompanii“, i że jest Kroatem; wzięto go zaraz na swoją odpowiedzialność do dworu, dla większej wygody i lepszego ukrycia dezertera.

Krok taki, w tym czasie, był bardzo ryzykownym, odpowiedzialność groziła wielka, lecz młode panienki poczęły rodziców błagać i męczyć tak, że przeciągnęło się to ukrycie czas długi, nim władza wyższa o tem się dowiedziała i zabrała w końcu z wielkim żalem obydwóch stron ukrywającego się więźnia, dla odesłania go dalej.

Biedny młodzieniec przywiązał się do swoich dobrodziejów, a państwo S. pokochali go nawzajem.

W parę miesięcy doniósł o sobie, a jak w takich razach, gdzie są ładne panny i inne uczucie się budzi: młodzi ludzie pokochali się, i zachowując stałość dla siebie, po latach kilku więzień, za pośrednictwem bardzo bogatej ro-

dziny uzyskał nietylko uwolnienie, ale jako sam dużego majątku w Kroacyi właściciel, i rękę panny.

XII.

W czasie wojny węgierskiej w całej monarchii był brak wielki drobnej monety, srebro znikło z obiegu, poczęto przedzierać na cztery części jednoreńskowe banknoty i to miało kurs i zastępowało czas jakiś drobną monetę.

Widziałem Anglika, który jechał ze mną pocztą na Podole, do Koropca, do pana Antoniego Mysłowskiego, znakomitego hodowcy pierwszego stada koni angielskich w Galicyi, jak przez całą drogę przy każdej sposobności z wielką swoją uciechą darł papierowe pieniądze, pytając wiele ma udrzyć i dlaczego innych banknotów nie może także dzielić na połówki.

Jechał on nie dla koni angielskich, ale pan Mysłowski miał otworzyć handel wieprzowy z Anglią przez Odesę Dniestrem, i w tym celu pozawiązywał stosunki w Anglii.

Żegluga jednak na Dniestrze stanęła tu podobno na przeszkodzie i projekt nie przyszedł do skutku, pomimo że miał dobre widoki.

XIII.

Spław taki na Wiśle, galarami do Gdańska, tak zwany „flis“ w jakiej to już dziś miniaturze się przedstawia, szczególnie w Krakowskiem?

W pierwszej połowie tego stulecia nie był on już wprawdzie tą arteryą, jaką był dawniej, za czasów polskich, jednak droga ta wodna, jeszcze za moich młodych lat, świetnie się utrzymywała. Pamiętam, że ojciec mój i sąsiedzi nasi pszenicę galarami wysyłali.

A cóż to był za ruch wielki po wioskach nadwiślańskich, zaraz po pierwszem puszczeniu lodów na Wiśle! Cała

młodzież ze swymi „retmanami“ szła w daleką kilkumiesięczną wędrówkę i stamtąd przynosiła w jesieni znaczny grosz zarobiony i piękne paciorki z bursztynu dla swoich stęsknionych niewiast, które, pracując w domu, nuciły piosenkę o mężach i braciach:

„Oryl pije, Oryl płaci,
Na Oryla — płaczą dzieci!
Płaczą dzieci, płacze żona,
Bo Oryla niema doma!

Budowa zaś galarów niemały zysk dawała. Miasteczko Czernichów, gdzie dziś szkoła rolnicza, dawna królewszczyzna, którą prawie zawsze trzymali burgrabiowie Zamku krakowskiego — i w roku 1701 miał ją Stanisław Cikowski — słynęło ze swoich wielkich warsztatów.

Gospodarze tamtejsi, dawni sołtysi, trudnili się przeważnie budową galarów na niej się częstokroć dorabiali lepszego mienia, i potem nawet wsie kupowali.

I stąd to pochodzi, że nawet jedna z rodzin bardzo szanowanych w krakowskiem, związek swój ze starą rodziną zasłużoną w księstwach zatorskiem i oświęcimskiem w wieku XV, udowodniła, iż jeden z ich protoplastów, będąc sołtysem w Czernichowie, dorobiwszy się majątku i syna pięknie wychowawszy na zacnego polaka, dał początek dzisiejszej możnej rodzinie.

W sąsiedztwie moich rodziców dzierżawił ładną wioskę jeden z takich gospodarzy, i córkę jedynaczkę, hożą i ładną panienkę wychowaną w Krakowie, wydał za mąż za syna także bogatego włościanina.

Wesele tej młodej pary odbyło się bardzo paradnie, ślub dawał brat pana młodego, ksiądz kanonik L., kapłan wielkiej nauki i powagi w Konsystorzu tarnowskim. Sąsiedztwo całe było zaproszone, powozów było kilkanaście, gdyż nietylko bliżsi sąsiedzi, jak moi rodzice, ale i z dalszej okolicy na ten akt przybyli goście.

Była to uczta prawdziwie Wierzynkowa, stoły gięły się pod zastawą potraw i rozmaitego pieczywa, cukrów i placków. I między sukmanami, wzorzystemi chustkami, zgubiły się surduty i suknie pań, a ponieważ stary dwór w Nowych dworach nie mógł całej zastawy pomieścić, stoły stały na podwórzu i w ogrodzie.

Gospodarstwo, chodząc wokoło stołów, zachęcali do jedzenia i picia, w słowach choć prostych ale serdecznych.

— Witam, witam, bardzo witam; proszę, proszę, bardzo proszę — te słowa ciągle powtarzając, każdego gościli.

A strój malowniczy krakowski dodawał tej uczcie pewnego uroku. I pod tem to, przyjemnem wrażeniem, zachował się on jasno i w mojej, wówczas chłopca młodego, pamięci. Wspominam to tutaj także i dlatego, ażeby dać świadectwo, żeśmy zawsze byli gotowi przy każdej sposobności przygarniać do siebie i podnosić lud.

Pan Furdzik, jako dobry gospodarz i uczciwy człowiek, dzierżawił potem inne jeszcze wioski, nim kupił ładny majątek, Łusinę obok Wieliczki.

XIV.

Co postęp robi dziś ze swymi tanimi wyrobami? — Oto malownicze, narodowe stroje nikną z widowni, a lud przystraja się w tandeckie ubiory, i owe piękne sukmany krakowskie zastępują tużurki niemieckie, tak, że patrząc teraz na fizyognomię okolic, dawniej dobrze znanych, a ładnie się ubierających, trudno odszukać tych malowniczych strojów, tak mężczyzn jak i niewiast. Kmieć krakowski długo nie przyswajał sobie zmian, jak dziś to już czyni z obcymi i tanimi wyrobami. Lubił co stare, co swoje i tem się chlubił i wiernie zachowywał tak strój, jak i obyczaj narodowy.

To samo o patryarchalnym stosunku, jaki dawniej istniał między dworem a wioską, w pierwszej połowie tego

stulecia; jakżeż odmienne od tego, co pamiętamy z naszej młodości, mamy dziś pojęcia?

Pan, choć wymagał od poddanego, co mu się należało, niósł ochoczo pomoc swej wiosce w każdej potrzebie i po ojcowsku się nią opiekował, i dlatego często tam, gdzie majątak dłużej zostawał w jednej rodzinie, ojcem był nazywany, jak tego liczne były u nas przykłady, nim ten wpływ, to zaufanie, przez niedorzeczną propagandę samiśmy zepsuli, a w końcu i rząd, idąc tym śladem, do reszty nam go odebrał.

Umieliśmy nietylko obudzać uczucie miłości ojczyzny, ale je potem i wynagradzać; pamiętam przykład w domu moich rodziców. Lokaj, który zaciągnął się w szeregi legii nadwiślańskiej w roku 1831, i bił się w niej walecznie, powróciwszy po kampanii jako podoficer, zaraz został posunięty na pisarza prowentowego i przyjęty do stołu i do towarzystwa moich starszych braci. I po tem ożeniwszy się z ubogą szlachcianką, panną z garderoby mojej matki, trzymał różne dzierżawy i dzieci wychował na porządnych, jak sam, obywateli kraju. Był on wychowankiem mego ojca, a synem chodaczkowego szlachcica z pod Lublina.

Zapewne odezwało się w nim uczucie, jakie biło w sercu dziada, który, jak mówił, umarł po powstaniu Kościuszki, w niewoli rosyjskiej.

Szlachta chodaczkowa wybierała posłów na sejmy i na elekcyi głosowała. Był to za Rzeczypospolitej stan, pośredni między chłopem, robiącym pańszczyznę z roli i z chałupy, a szlachtą wykształceńszą, posiadającą także rolę i ponoszącą również ciężary publiczne około Rzeczypospolitej, jakie na niej jedynie, za jej przywileje, ciężyły.

XV.

O naszej polskiej, szlacheckiej ofiarności, z tych czasów, kiedyśmy już byli rządzeni przez obcych ludzi, którzy

chcieli nas na Niemców przerobić, dobra historya przychodzi mi na pamięć, jaką słyszałem od naocznego świadka, pana Kajetana Russockiego, właściciela Oświęcima, świeżo nabytego od rządu z dawnego starostwa.

Na początku tego stulecia młodziutki, tak wiekiem jak i rangą swoją, urzędnik dopiero co przybyły do Galicyi, baron Krieg ze Styryi, skąd rodzina jego podobno pochodzi, był wysłany z cyrkułu wadowickiego na komisyę w okolice Oświęcima, która miała potrwać czas dłuższy.

Poznawszy urzędnika, pan Russocki polubił go i zaprosił na stałą kwaterę do siebie.

Naturalnie pan Krieg przyjął tę grzeczność z radością i jeździł po wsiach dla ściągnięcia różnych dawnych zaległości, wynoszących sumkę pokaźną, bo kilka tysięcy złotych ówczesnej monety.

Powróciwszy raz po dłuższej swojej niebytności do gościnnego domu, bardzo zadowolony, że mu się dobrze i łatwo powiodło odebrać bez oporu wszystkie kwoty, został nagle przerażony raportem służącego, że kufer z rzeczami i z pieniądzmi ktoś, zapewne w drodze, ukradł, bo go niema, i poszukiwania poczynione mogą być daremne.

Tak się też stało, bo kufer się nie znalazł, z czego rozpacz była wielka, gdyż nietylko ciężka odpowiedzialność go czekała, ale co gorsze, zwichnięcie całej karyery, jaką on już przeczuwał, jadąc do Galicyi. Widząc to gospodarz, odezwał się do niego:

— Fe, nie płacz pan, tylko powiedz mi, wiele miałeś tam pieniędzy?

— Ach panie, więcej niżeli mój biedny ojciec na razie może mi dać — a mój Boże, nim to nastąpi, wszystko się wyda i jestem zgubiony.

Panu Russockiemu, gdy usłyszał to wyznanie, żal się zrobiło młodego człowieka i dał mu pieniądze, by w kasie zapłacił, nim ojciec nadeszle. Taki niespodziewany, szlachetny czyn, wycisnął jeszcze gorętsze łzy z oczów rozpacza-

jącego chłopca i przyrzekł, że tego do śmierci nie zapomni, co jest winien obcemu człowiekowi.

Wiele lat potem od tego dziwnego zdarzenia ubiegło, nim pan Krieg awansując, doszedł najwyższego znaczenia i znalazł sposobność wywzajemnienia się, gdyż dopiero straszne wypadki w 1846 r. przypomniały mu dawną obietnicę.

Córka pana Kajetana Russockiego, pani Mikołajowa Dąbska, mając męża i synów uwięzionych w Ołomuńcu, gdzie wszystkie nieszczęśliwe ofiary wywożono z wadowickiego, przyjechowszy do Lwowa, ażeby prosić za nimi, odebrała niezwykły dowód łaski w tym czasie od barona Kriega, wice-gubernatora Galicyi, bo dowiedziawszy się, że jest córką jego dobrodzieja, i po ojcu również właścicielką pamiętnego mu Oświęcima, rozrzewnił się nad jej losem, a może i starem wspomnieniem, i natychmiast wysłał sztafetę do Ołomuńca, ażeby z panami Dębskimi wstrzymać dalsze indagacye i zaraz ich uwolnić.

Wzajemność była dobra i szlachetna, i może jedyny piękny rys tego czarnego charakteru, tego wroga narodu polskiego, a podobno i autora projektu bratobójczej rzezi.

Sumienie zapewne w nim się odezwało, bo przypomniał sobie, że ten naród, któremu on taką bolesną krzywdę wyrządził, przyjął go na początku karyery w Galicyi przychylnie.

XVI.

Dawne wielkie jarmarki w Galicyi upadły, i dziś mało już wiemy, jaki to handel w nich się odbywał, jaki był ruch wielki i jakie życie w nich biło przed końcem pierwszej połowy tego stulecia.

Taki naprzykład jarmark ułaszkowiecki na Podlasiu, przy końcu czerwca, trwał tylko kilka dni, ale towary sprowadzano tu z różnych stron świata. Grek, Turek i Ormianin swoje wschodnie towary przywozili; tabuny koni na arkan łapane, obok koni wysokiej rasy, tak w kraju urodzone, jak i z Arabii, można tu było widzieć. Handel zboża i wódki odbywał się na wielką skalę; kontrakty zawierano na ogromne sumy, a ceny produktów na rok cały, a przynajmniej na zielone zboże, Ułaszkowce układały. — Nieraz i majątki tam się sprzedawały i kupowały; panie zaopatrywały się we wszelkie przybory swoich tualet i w potrzeby domowe, bo kupcy i modniarki, słynne na owe czasy, jak Adamska i Błotnicka, ze swymi magazynami ze Lwowa przyjeżdżały. Małżeństwa także się tu kojarzyły między dziarską młodzieżą, harcującą na dzielnych koniach, a ładnemi pannami, które nie wiedziały jeszcze, co to blednica. Teatr, koncerta i inne przedstawienia miały swoje szopy. Gra w karty także wiele czasu i niestety, nieraz wiele pieniędzy pochłaniała.

Słowem, całe Podole cieszyło się na ten jarmark — i wieś Ułaszkowce, leżąca nad jarem, cicha i spokojna przez cały rok, miała w tej porze pozór dużego miasta, bo nietylko liczne dworki hrabiego Lanckorońskiego, w ciągu roku próżno stojące, były zajęte i naprzód zamówione, ale także wszystkie porządniejsze chałupy we wsi. Zbierała się w nich nie wielkomiejska publiczność, ale składała się na ten tłum różnobarwna i wielojęzyczna zbieranina, ściągająca tu na czas świetnego jarmarku. Spotykałeś tu zarówno paniczów, widywanych we Lwowie i w Wiedniu, jak i domatorów szla-

checkich Podola. Wystrojone parafianki i panie dystyngowane ocierały się tam prawie o siebie; hałas, krzyk, głośne zakłady, rubaszne zaklęcia i żarty, w różnych językach rozmowa, zlewały się w jeden szum, do plusku fali wezbranej rzeki podobny. Tumany kurzu wzbijały się w obłoki, unosiły w powietrzu, niby chmury ciężkie, i opadały deszczem szarego pyłu nietylko na samym placu jarmarku ale i na wszystkich drogach, wiodących do niego, bo ruch fur, wózków, bryczek, dawniej zwanych najdyczanek, i powozów po cztery konie założonych, był wielki. Młodzież siedząca na wsi, oddana pracy, uważała ułaszkowiecki jarmark za swoje zapusty, i powróciwszy z niego, dłużej o niem opowiadała w swych dworach i dworkach, niż dziś młodzieniec, powróciwszy z zagranicy, mówi o swej dalekiej podróży.

Podobnie jak w Ułaszkowcach, a także o wiele świetniej niż dziś, odbywały się jarmarki na konie rasowe w Tarnopolu, na świętą Annę. — Mnóstwo hodowców i „makinionów“ z całego kraju się zjeżdżało i Tarnopol ciągnął zyski tak z bogatych ludzi, mających swoje renomowane stada, jak i z tłumu.

I dziś odbywają się też same jarmarki, lecz jakże niepodobne do dawniejszych!

Tak samo i jarmark w Mościskach na Wszystkich Świętych, i w Rzeszowie, na św. Wojciecha, niepodobne są do dawniejszych, bo dawniej cały handel końmi z tej części Polski tu się koncentrował, ściągając także bardzo licznych kupców z zagranicy.

Szczególnie rzeszowskie jarmarki są dawne; już stary pamiętnik z roku 1612, po wojnie Moskiewskiej, wspomina o nich. Na „Mazurach“ świetne jarmarki na konie odbywały się w Zielone Świątki w Dąbrowy, a na środopoście w Bochni; teraz mało kto wie o nich, bo zeszły do drugiego rzędu. Przypadały tak kolejno po sobie, że nieraz można było zdybać prowadzone konie panów, bawiących się tym handelkiem, gdyż żydzi mniej go w ten czas uprawiali,

z jednego jarmarku na drugi. Pamiętam taki transport koni, prowadzony przez koniuszego pana Kajetana Rulikowskiego, wielkiego „makiniona“, z Tarnopola po środopościu do Rzeszowa, a potem do Dąbrowy.

„Makinionów“, jak pan Rulikowski było wielu; w Przemyskiem był hrabia Rozwadowski, w Tarnowskiem Dzwonkowski, Wykowski i wielu jeszcze innych, którzy więcej tracili na tej pasyjce, niż zyskiwali. Żaden jednak jarmark nie obeszedł się bez nich, oni go podnosili, i koło siebie, w swoich stajniach, naprzód zamówionych, życie jarmarczne koncentrowali. Sposób nawet ówczesnego oszukiwania przy sprzedaży, każdemu z nich był właściwy, małoznaczący, miał pewien dowcip i humor, później powtarzany; bawiono się nim i nie obrażano. Najczęściej padali ofiarą młodzi panicze lub kawalerowie, żeniący się; do szyku bowiem, jak dziś to się nazywa, należało pięknie konno jeździć, używać konia śmiało, i dobrze czwórkę prowadzić, z bata strzelać i w ogóle znać się na koniach. Młodzież między sobą, bez jarmarku, zjechawszy się, często mieniała i kupowała konie i dobrze nieraz oćwiczywszy „fryca“, drwiła potem z niego, że nieznał wartości swego konia.

Do takiej młodzieży należał także i mój brat starszy, Celestyn, słynący ze swej niepospolitej odwagi i brawury na koniu, jak również i z doskonałego powożenia czwórką. Raz miał konika gniadego „Staszka“, miary mało co wższej jak czternastej, dziwnie mądrego i ładnego, z wielkiemi zaletami siły i temperamentu. Znał on tak swego pana, że skoro ten więcej wypił i miał w głowie, a wtenczas lubił na nim dokazywać, koń za siebie i za pana miał rozum. W Kosowej był duży, równy dziedziniec, na którym stał dwór stary, modrzewiowy; otóż mój brat, rozpędziwszy konia, wskakiwał przez okno do pokoju. Był to skok nietylko nadzwyczajnie śmiały, ale można powiedzieć, nawet szalony, bo cudu prawie potrzeba było, ażeby nie roztrzaskać głowy lub kolan o ramy okna.

Pasyjce mieniania i kupowania koni łatwo się dogadzało przy niskiej cenie koni. Ładną furmankę rosłych i dobrze zebranych, jednej maści koni, często można było nabyć za 400 zł., czyli za sto dukatów, gdyż dukat znaczył wtenczas 4 zł. konwencyjnej monety.

XVII.

Wszystko się szybko zmienia; naturalny to jednak porządek rzeczy, inaczej być nie może. I dawniej tak było, że pan stolnik i pan wojewoda różnili się także od swoich dziadów. Mniej przecież to musiało być widocznem, bo nie było jeszcze tego wielkiego postępu i cywilizacyi, jaka dziś wyradza ciągłe przemiany i niejeden zbytek rodzi w domach naszych.

Z początkiem XVIII wieku za panowania Sasów, zbytek przy lepszych czasach i gnuśnym pokoju, począł coraz więcej zaglądać do dworów i dworków szlacheckich. Zaczęły się w nich pojawiać bogatsze sprzęty, zamiast prostych ław w około ścian, dębowych stołów „beicowanych“, jak je nazywano i większej ozdoby szaf, wykończonych snycerską robotą. Strój polski zastąpiły fraki, a kosztowne sprzęty, materye, klejnoty, przechodzą drogą spadku po bogatych koligatach, szczególnie po biskupach i innych dostojnikach duchownych, do uboższych krewnych, i ci, szanując tę spuściznę, zostawiają ją dzieciom, tak, że niejeden z tych bogatszych sprzętów lub klejnotów, przechodząc z ojca na syna, zachował się jeszcze w rodzinach aż po nasze czasy. Coraz jednak ich mniej, bo je wykopują za wysoką cenę handlarze lub znawcy za granicę. A za to mamy pełno dobrze udanych antyków, które oko tak łudzą, że nawet znawcom tych rzeczy rozpoznać je trudno od prawdziwych.

Także i rok 1846 wiele zniszczył w zachodniej części kraju naszego takich pamiątek; policzyć je byłoby trudno. Sam pamiętam w mojej młodości w każdym prawie dworze

i dworku pełno zabytków z przeszłości, dziś bezpowrotnie zaginionych. Szczególnie pamiętam w mojej rodzinie cenne antyki po dwóch biskupach płockich: Stanisławie i Onufrym Szembekach, które w tej nieszczęśliwej rabacyi prawie zupełnie zniszczone zostały. Biurko bardzo stare, rodzaj komódki, wykładane drzewem cyprysowem w różne desenie i cienie z porcelanowemi miniaturami, i misternej roboty bronzowemi antabami, z mnóstwem niedocieczonych kryjówek w formie szufladek, było przez czas i ludzi, nieumiejących cenić jego wartość, mocno uszkodzone. I kiedy moja siostra dała go córce, mieszkającej w Wiedniu, biurko stojące w przedpokoju zwróciło na siebie uwagę; przybył nawet ktoś z chęcią nabycia, lecz gdy to nie udało mu się, nawet za wysoką cenę, prosił, ażeby choć jako amatorowi pozwolono mu je odrestaurować. Po wielkich trudnościach zdecydowano się za złożeniem odpowiedniego zastawu. Dziś posiada to biurko wnuk mojej siostry, a ma być tak starannie i pięknie odnowione, że mimowoli przychodzi myśl, czy nie jest zamienione na doskonałe naśladownictwo starego antyku.

XVIII.

Dwa dokumenta.

Nieraz, szperając po starych rodzinnych archiwach, natrafić można, często niestety bardzo podniszczone, w pyle zapomnienia, ciekawe bardzo dokumenta. Z radością się czyta i podziwia nietylko rozum i prawość naszych przodków, ale i język kwiecisty i styl piękny, jasny, pełen poetycznej barwy.

Do takich cennych i arcypięknie napisanych aktów należy niewątpliwie wiekopomny Akt Unii Horodelskiej z roku 1413. Dlatego, choć on znany jest w historyi, pozwalam sobie z odpisu, jaki znalazłem z wieku XVII, jako bardzo ciekawy i swoją treścią zajmujący pomnik świetnej przeszłości przypomnieć pamięci ogółu.

Pamiętny zjazd w Horodle dnia 2. października 1413 r. za Władysława Jagiełły, był jedynym w dziejach przykładem dobrowolnego zjednoczenia się dwóch nieprzyjaznych sobie ludów. Dla utrwalenia tego związku wybrał Witold 47 najprzedniejszych bojarów, jako najgodniejszych klejnotu szlacheckiego, których tyluż przedniejszych panów polskich przyjęło do swych herbów.

Akt ten pamiętny rozpoczyna się piękną apostrofą o miłości i wart jest zachowania w pamięci dla wzniosłej sentencyi i pięknego stylu.

„W imię Pańskie Amen. Ku wieczystej pamięci. Nie doznać nikomu zbawienia, kogo niewsprze miłość, gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc, kładzie koniec niezgodzie, uśmierza swary, ukraca nienawiść, łagodzi waśnie, użycza wszystkim pokoju, skupia co się rozpierzchło, podźwiga co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się groźb niczyich. Miłość ta tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, udoskonala wszystkie cnoty prawych, a kto nią wzgardzi, ten wszelkiego dobra pozbędzie. Dlatego my prałaci, rycerstwo i szlachta Korony Polskiej, chcąc pod tarczą miłości spocząć i pobożnem ku niej dysząc uczuciem, zespoliliśmy i zjednoczyli, i dokumentem niniejszym zespalamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem, mianowicie zaś z tymi, którym Najjaśniejszy książę i pan, Władysław, z Bożej łaski król polski, tudzież Oświecony książę i pan Aleksander, rzeczony Witold, Wielki książę litewski, nadali prośby nasze i mocą dokumentów zatwierdzili łaski swobód, wolności i przywilejów. Zespoliliśmy, mówimy, i zjednoczyli, aby na wieczne odtąd czasy mogli używać naszych herbów i klejnotów, i godeł naszych, któreśmy odziedziczyli po ojcach i przodkach naszych, a któremi oni cieszyć się mają w znak prawdziwej miłości, jak gdyby takowe po swoich własnych przodkach otrzymali dziedzictwem. Niechaj więc zjednoczą się z nami miłością i braterstwem, i staną się nam równymi, jak już sama wspólność wiary, praw i przywilejów porównała ich z nami. I przyrzekamy im słowem czci i przy-

sięgi nieopuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz owszem stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom nieprzyjacielskim i pracować usilnie u panów naszych: Władysława, Aleksandra i Witolda, aby coraz szerzej rozwierali dla nich rękę swej szczodrobliwości, ażeby ich coraz hojniejszemi darzyli swobodami, aby nigdy nie przestawali przymnażać im łask i pożytków. Co też i przezacni panowie litewskich ziem obowiązali się słowem i przysięgą czynić dla nas nawzajem“ [1]).

Drugi taki akt, jaki również tylko w odpisie urzędowym znalazłem, późniejszy prawie o dwa wieki, jest także bardzo ciekawym dokumentem, bo nam wymownie przedstawia, jak sprawę zaszłą u nas w Polsce, za najdawniejszych czasów pojmowano.

W roku 1604 pan starosta mościcki, Jan Herburt, nadając prawo zbudowania cerkwi w Mościskach, tak się o tem prawie swojem rozpisał:

„Ja, Jan Szczęsny Herburt Dobrowolski z Felsztyna, wiszeński, mościski i t. d. starosta. Oznajmiamy, iż przykładem przodków moich idąc, nie widzimy nic tak potrzebnego Rzeczypospolitej, ojczyźnie naszej, jak pokój wewnętrzny, a mianowicie między naszym, to jest polskim, a ruskim narodem, z którym od czterystu lat dom mój zawsze w wielkiej zgodzie mieszkał. Przeto dobro pospolite, pokój święty, przykłady przodków moich przed oczyma mając, z chęcią na to pozwalam, aby ludzie narodu greckiej religii w mieście Mościskach cerkiew sobie zbudowali, na co ja im dworek w mieście przy wale leżący, nazwany Wójcie, daję, i z prawa mego, które mam z wszystkiem starostwem, na ten dworek ustępuję; pozwalając im u króla Imć prawo zrobić jako najlepsze na ten dworek z sadkiem i ogródkiem, na którem już cerkiew pobudowali. Będzie też tak cerkiew sama, jako sadek, ogródek, pop tameczny ze wszystkiemi sługami cerkiewnemi od wszelkich podatków, czynszów, pańszczyzn i innych ciężarów zamkowych i miejskich wolny. A jeżeliby się trafiła skarga jaka, tak na popa samego, jak któ-

[1]) To samo podaje Rzyszczewski w *Codex diplomaticus* tom I, str. 286—289. *(Przypisek autora).*

rego z ludzi, do służby cerkiewnej należących, tedy nie kto inny, tylko urząd duchowny przemyski sprawiedliwość z takiego czynić ma. Pozwalamy też wrąb do lasów starostwa mościskiego popowi samemu, za wiadomością urzędnika naszego, tudzież w młynach bez miary mielenia. Na co się podpisuję i pieczęć swą przycisnąć kazałem. Tak też i małżonka moja, prawo wspólne ze mną mająca. Dan w Mościskach 12. stycznia roku 1604" [1].

Dziś świat inny, do tamtego niepodobny, a taki jakiś obcy, że zdaje się, że ta świetna przeszłość była tylko marzeniem, z którego niepoczciwa ręka zbudziła. Dlatego na pamiątkę z tego okazałego gmachu trzeba zbierać rozrzucone po świecie cegiełki, by nie zaginęły w pamięci.

[1] Oryginał tego aktu znajduje się w prokuratoryi skarbu we Lwowie. *(Przypisek autora).*

Z okolic Zatora

dziś i dawniej.

Piękny to kawałek kraju przedstawia się oku na prawym brzegu Wisły począwszy od dopływu Soły pod Babicami, a szczególnie, kiedy o kilkanaście kilometrów dalej przyjmuje jeszcze Wisła w swoje nurty Skawę i płynie już szerokiem korytem aż ku Krakowu.

Dawniej ożywiał te żyzne okolice wielki gościniec, prowadzący cały handel ze wschodu na zachód, jak to samo dziś czyni kolej, biegnąca tym samym szlakiem, i ładny z natury widok więcej jeszcze urozmaica i piękniejszym czyni.

Wioski, gęsto rozsiane u brzegu Wisły, odznaczają się dobrą glebą, wzorowem gospodarstwem, dobrymi budynkami i ładnymi ogrodami, a lud malowniczym ubiorem. Biała sukmana z czerwonemi wypustkami i z granatowym podspodem, kabat, czyli żupan z takiemi co i przy sukmanie wypustkami, lub górnicą płócienną ze stojącym sukiennym kołnierzem granatowym i wypustką czerwoną; na głowie, czarny wysoki kapelusz o małych krysach, a szerokiej aksamitce, przy końcu naszytej świecidełkami.

Gościniec ten wielki zwacał się w Zatorze na lewo do Kęt, nie szedł na Oświęcim, jak kolej dziś idzie, i dlatego i ja w tym opisie będę się trzymał więcej dawnego szlaku i za Zatorem wymienię niektóre wioski, należące do księstwa Zatorskiego i Oświecimskiego, choć nie wchodzą w zakres mojego opowiadania z okolic Wisły.

Miasto Kęty, od którego zaczynam moją wędrówkę, jest sławne urodzeniem świętego Jana z Kęt, czyli Kantego w roku 1389; kościół farny, wedle Długosza, miał wybudo-

wać i miasto założyć w roku 1200 Masław, syn Mieczysława II, który od Kazimierza, księcia krakowskiego, kraje te dobrowolną ugodą otrzymał. To jednak nie jest prawdopodobnem, gdyż byłoby wspomniane w późniejszych nadaniach. Według dokumentu Władysława, księcia opolskiego z roku 1277, kupił w Kętach wójtowstwo Arnold z braćmi od Brunowa. Książę w tym dokumencie powiada: „Nadajemy Arnoldowi i braciom jego wszystko, co do tego wójtowstwa należy; prócz tego będą mieć 60 tamże znajdujących się łanów, 6 łan wolny od opłaty czynszów; w gruntach swoich urządzą tyle stawów i młynów, ile im się podobać będzie bez żadnej opłaty; będą pobierać trzeci denar od spraw osądzonych, wszystkie zaś sprawy mają się sądzić *jure Loewenbergensi*, to jest tem prawem, jak miasto Löwenberg na Śląsku. Mieszczanie po wejściu wolności, mieli płacić z łanu po grzywnie srebra i dwie miary pszenicy, żyta i owsa. Prawa i przywileje miasta potwierdzili tak książęta ślązcy, jak i później królowie polscy. W roku 1391 zmienił prawo lewenbergskie Jan, książę oświecimski, na niemieckie, „jakiem się rządzi stolica Oświęcim“, wyznaczył pastwiska, pozwolił przewozić wszystkie towary bez opłaty cła, i nadał miastu opłaty łanowego i od dobywania soli, za co mieli naprawiać drogi i mosty [1]). Kościół w roku 1655 spalił się, a nowy fundował Sebastyan Lubomirski, wojski krakowski; później przy nim klasztor OO. Reformatów w roku 1700 założył Andrzej Żydowski, chorąży i sędzia grodzki i podstarości krakowski. Kęty w roku 1773 należały do starostwa.

Wyjechawszy z miasta ku Zatorowi napotykamy wieś Głębowice ze starym zamkiem z XIV wieku, niegdyś obronnym, wodą oblanym, należącym bardzo długie czasy do rodziny możnej i znacznej w księstwach, z Pisarzowic Pisarzowskich, herbu Starykoń. Już w roku 1536 są tam Pisarzowscy (przed tym byli Gierałtowscy). W roku 1646

[1]) *Słownik geograficzny.*

zamek został odnowiony przez Jana Pisarzowskiego, drugi raz przez Adama w roku 1773, kiedy ten żenił się z drugą żoną, Apolonią Wilkońską. W jednej z sal ogromnych, jakich kilka ten duży zamek posiada, stoi do dziś piec kaflowy, niezwykłej wielkości; kafle są dwukolorowe, na niebieskich pogoń, na czarnych orzeł biały, i nosi rok 1616. Po śmierci pani Pisarzowskiej, w roku 1826, sprzedał Jan Pisarzowski Głębowice Ludwikowi Duninowi. Tegoż syn Tytus, ożeniony w roku 1844 z Albiną hr. Bobrowską, odnowił znacznie i przerobił zamek. W czasie tej restauracyi w baszcie zachodniej murarz natrafił na zamurowaną w ścianie skrytkę, w której stała urna, Bóg wie z czyjemi popiołami i z jakiego ona była czasu. W kościele są groby i pomniki Pisarzowskich i wielki portret naturalnej wielkości Komorowskiej, starościny zatorskiej. Budowa kościoła jest z r. 1518, pod wezwaniem Najświętszej Panny Maryi, i stoi na miejscu dawnego, który już istniał w roku 1378. Kaplicę przy kościele św. Tytusa ufundowała po śmierci męża w roku 1862 Albina z hrabiów Bobrowskich Duninowa. Dziwne zdarzenie towarzyszyło sprzedaży Głębowic. Kiedy opuszczał zamek Jan Pisarzowski i żegnał zię z ludźmi płaczącymi, oderwała się z muru marmurowa tablica z napisem fundacyi, przed jego nogami padła i w kawałki się rozleciała. Take to wrażenie zrobiło na panu szambelanie, że kazał ją w ramy dębowe oprawić i jako stół przy łóżku, służyła mu do śmierci.

Niedaleko, prawie z Głębowicami granicząc, jest duża wieś Gierałtowice, przy samym gościńcu, idącym z Kęt do Zatora nad rzeczką Wieprzówką. Książęta zatorscy przywilejem z roku 1513, potwierdzonym przez królów polskich, nadają wieś rodzinie Gierałtowskich. Później widzimy tam właścicieli Strońskich, a potem Jedleckich. Od Kazimierza Jedleckiego nabył ją Andrzej z Żydowa Żydowski, chorąży krakowski, w roku 1690. Po nim odziedziczył syn, Antoni, ożeniony z Przerębską i ten z dużej ojcowskiej fortuny, składającej się z dwunastu wiosek, zostawił Gierałtowice młod-

szej córce Magdalenie z 1-go małżeństwa Moszczyńskiej, z 2-go Wilkońskiej, a 3-go Paprockiej. Ta pani po śmierci męża, Stanisława Paprockiego, chorążego podlaskiego, dzieląc w roku 1780 dzieci z trzech małżeństw, Gierałtowice sprzedała Goławskiemu, i od synów jego przechodzą w drodze sprzedaży do dóbr zatorskich, wówczas już należących do hr. Maurycego Potockiego. Grunta tak samo jak w Głębowicach, są pagórkowate i gliniaste, jednak znacznie lepsze, bo mają więcej stawów i łąk. Dwór jodłowy z dwoma narożnikami w formie wieżyczek, w stylu, jaki był wówczas powszechnie używany. Miała w nim mieszkać księżna Lubomirska. Na podwórze wjeżdżało się przez głęboką fosę, na której był most. Kościół budowany z drzewa, pod wezwaniem świętego Marcina, postawiony i murem obwiedziony w roku 1629, na miejscu dawnego, istniejącego już w roku 1378 za zatwierdzeniem bractwa kapłanów księstwa Oświecimskiego przez Floryana Mokrskiego, biskupa krakowskiego. Za czasów Długosza należą Gierałtowice do Mikołaja Saszorskiego, herbu Saszor.

Do parafii należą Gierałtowiczki, wieś piękna z dobrymi gruntami; w ostatnich latach przeszła do Duninów i była własnością Teodora Dunina, bardzo zacnego człowieka, który bardzo pięknie ją zabudował; umarł wcześnie kawalerem. Dziś posiada ją bratanek jego, Stanisław Dunin, syn Tytusa, ożeniony z Pruszyńską.

Obok nieco na zachód jest wieś Polanka wielka, przez długie czasy należąca do rodziny Cieńskich, w której byli mężowie waleczni, jak Marcin, rotmistrz, wsławiony pod Wiedniem i Parkanami. Wiele pamiątek z tych czasów razem z Polanką dostało się po kądzieli Pieńczykowskim, którzy sprzedali Wysockim. Stanisław Cieński, ożeniony z Moniką hr. Łoś, zostawił dwie córki: Sewerynę za Melitonem Pieńczykowskim, Zefirynę za Julianem Hohendorfem i syna Apolinarego, ożenionego z hrabianką Szembekówną. Kościół murowany ma groby rodziny Cieńskich. Grunta tu jak w ca-

łej tej okolicy trochę pagórkowate, jednak majątek piękny. Dwór duży, murowany, przerobiony na pałac przez ostatniego potomka tej linii, Apolinarego Cieńskiego.

Sądząc po nazwach wsi, obok siebie leżących, przychodzi się do wniosku, że kiedyś musiały tu być lasy wielkie, skoro zaraz za Polanką wielką, bliżej już Oświęcima, jest Poremba wielka. Z niej pisali się Porembscy herbu Kornicz, rodzina można, i od niej, czy wprost, czy pośrednio, dostaje się Poremba Bobrowskim, którzy ją dłuższy czas posiadają. Kościół, budowany z drzewa z końcem XVI wieku, stoi obok parku niedaleko pałacu, zbudowanego w stylu włoskim, podług planu architekty włocha Lanciego, którego wiele budowli w tym czasie stanęło. Pałac stanął staraniem Ignacego Bobrowskiego, ożenionego z Jordanówną z Kóz, ojca Wincentego, który ten piękny majątek sprzedał Nowakom, a ci hrabinie Miroszewskiej.

Należała do Poremby, a dawniej do Grojca wieś Łazy, także niegdyś własność rodziny tych samych Porembskich. Dwór z zabudowaniami stoi na dawnem warownem miejscu, mającem wokoło wały i fosy. Czasy to muszą być dawne, kiedy nawet podanie nic o nich nie mówi. W roku 1574 bierze zastawem Łazy od Stanisława Porembskiego Andrzej z Żydowa Żydowski, przybyły z województwa kaliskiego, a powiatu gnieznieńskiego, i daje tu początek tej rodzinie, później możnej i w znaczeniu. Na wałach stały wiekowe dęby; jeden z nich za moich czasów, kiedy tę wieś dzierżawił Feliks Łopuszański, nie mając już zdrowej korony, miał obwodu 11 łokci. Grunta w połowie stawowe, glinka.

Tuż obok na zachód leży wieś Grojec, jak już powiedziałem, w przeszłości należąca do Porembskich, z których Jan w wieku XVI jest wojskim oświęcimskim. Później przechodzi zapewne tak samo niebezpośrednio do Bobrowskich.

Adolf Bobrowski wielkiej zacności patryota, po wypadkach 1846 roku dwa lata siedział w więzieniu we Lwowie.

Ożeniony z Wandą Dąmbską z Wojnicza, mając słabe zdrowie umarł na suchoty, zostawiwszy żonie dożywocie. Po jej śmierci Grojec miał przejść na dwóch jego siostrzeńców Józefa Dąmbskiego syna Aleksandra, i Stanisława Cieńskiego, syna Ludomira z linii Okieńskiej, urodzonego z Magdaleny z Jordanów. Lecz ci nie chcąc czekać na śmierć dożywotniczki, ułożyli się z nią o spłatę i Grojec przeszedł na drugiego jej męża, Kornela Chwaliboga. Majątek ten piękny i ciągle przez właścicieli upiększany, ma pałac duży w ładnym ogrodzie, gdzie wśród starych drzew stoi drewniany kościół z grobami dawnych kolatorów. Grunta ma doskonałe, szczególniej na Zaborzu, folwarku, gdzie są ciągnące się pod sam Oświęcim stawy, dające znaczny dochód.

Pominąwszy mniejsze wioski w moim opisie, posuwam się ku Wiśle, gdzie leży wieś Przeciszów z murowanym kościołem, w którym są groby Przerembskich herbu Nowina, rodziny możnej i piastującej pierwsze godności, tak w księstwach jak i Rzeczypospolitej, przez długie czasy. W pierwszej połowie tego wieku od Przerembskich nabył Przeciszów do dóbr Zatorskich Maurycy hr. Potocki. Gospodarstwo rybne zawsze było prowadzone, a teraz należy do wzorowych w tamtejszej okolicy.

Zator, dawna stolica księstwa, miasteczko schludne, ma swoją historyę dobrze znaną, zatem nie będę ją tu powtarzał. Wspomnę jednak o legendzie ludowej, że nazwę swoją bierze od zmylenia pościgu nieprzyjaciela, przez okucie wspak koni, tak, że ślad był w przeciwną stronę, i stąd go nazwano Zatorem. Historya wspomina Dersława z Rytwian, który zebrawszy w roku 1438 niemały poczet rozmaitych ludzi, podjechał w nocy do Zatora i przystawiwszy do murów drabinki, wszedł do miasta i zabrał je, jak potem i Oświęcim. Sejmiki odbywały się w kościele, który Wąsowiczowa, dama wielkiego rozumu i gustu, nabywszy Zator, pięknie w stylu gotyckim odnowiła; stary zamek na pałac przerobiła, gromadząc w nim wiele cennych pamiątek, nie-

tyle miejscowych ile historycznych, z wojen Napoleona i swoich familijnych, jako siostrzenica królewska. Pałac leży nad Skawą; park obszerny ciągnie się aż do rzeki.

Hrabina Wąsowiczowa, rozwiódłszy się z hrabią Aleksandrem Potockim, wyszła za jenerała Wąsowicza, słynnego adjutanta Napoleona I. Państwo Wąsowiczowie razem z hrabią Maurycym mieszkali w Zatorze, a córka ich Natalia poszła za Karola Jordana z Kóz, w sąsiedztwie Zatora mieszkającego, brata hrabiny Ignacowej Bobrowskiej z Poremby. Wszyscy trzej panowie, jako dawni wojskowi, lubili polowanie, a że lasów było wiele, więc łowy się udawały. Pan Maurycy pierwszy sprowadził do Galicyi z Anglii „bigle“, psy angielskie, którymi zwierza forsował. Pozakładał bażantarnie, także dotąd tu nieznane, a skupując coraz więcej wiosek koło Zatora, miał teren do polowania szeroki. — W sąsiedztwie było wiele domów możnych, jak: barona Larysza w Osieku, Tomkowicza w Kobiernicach, Siemańskiego w Barwałdzie i hrabiów Bobrowskich w Grojcu, Porembie, Andrychowie i Inwałdzie; z tymi wszystkimi Zator żył w przyjaźni i polował.

Wspomniawszy cenne zabytki z przeszłości w Zatorze u hrabiny Wąsowiczowej, przychodzi mi na myśl anegdota dowcipnego człowieka, Leona barona Skorupki. Będąc na wystawie archeologicznej w Krakowie w roku 1858, stanąłem przed oddziałem zatorskim, gdzie zajął mnie pałasz po księciu Józefie Poniatowskim, z którym miał się utopić. Pan Leon odezwał się do mnie: „czy wiesz dlaczego utopił się książę Józef?“ Zagadnięcie takie wydało mi się nieco zabawnem i odpowiedziałem: „zapewne konia miał już zmęczonego.“

— „Otóż widzisz, że niewiesz; ja sam widzę już czwarty pałasz, z którym książę Józef miał się utopić; jeżeli więc stosownie do tego i innej jeszcze broni tyle miał przy sobie, to naturalnie z takim ciężarem i najlepszy koń Elstrę przepłynąć nie mógł.“

Pałasz jednak, przechowany w Zatorze, u siostry ciotecznej księcia Józefa, musi być chyba wiarogodny.

Gdy się minie Skawę i jedzie dawnym traktem, a dziś szutrówką, roztacza się kraj weselszy, z coraz lepszą glebą. W ubiorze ludu spostrzega się stanowczą odmianę; sukmany są piękniejsze i więcej malownicze, kobiety się ładniej ubierają, a lud się lepiej ma, bo ziemia lepsza. Obok po lewej ręce leży wieś Polczowice, należąca do Zatora, a niegdyś do rodziny, która z niej swój początek brała (Polczowscy herbu Saszor), i przez kilka wieków posiadała majątki i urzęda w księstwach. Kościół stary mieści groby tej rodziny. Późniejsi nabywcy, Gołasowscy, sprzedali Polczowice hrabiemu Potockiemu. Gleba dobra i gospodarstwo, jak w całej okolicy, prawie wyłącznie stawowe.

W bok nad samą Wisłą jest wieś Smolice, sławna z łowiectwa bobrów w wiekach dawnych, z glebą dobrą, jednak często narażona na wylewy wody, które choć swoim namułem użyźniają pola, przynoszą rolnikom znaczne szkody nietylko w ziemiopłodach, ale i wskutek odrywania brzegów. Smolice sprzedała rodzina Wachsmanów, pisząca się z Korabnik, Moszewskim, a od tych ten piękny i dobry majątek do dóbr Zatorskich nabył hrabia Potocki.

Posuwając się dalej ku Krakowu, przyjeżdża się do Spytkowic, dużej wsi, należącej niegdyś do możnej i znacznej w całej Polsce rodziny Myszkowskich herbu Jastrzębiec, piszącej się z Mirowa, a pierwej jeszcze z Przeciszowa. Po sprzedaży księstw w roku 1494 królowi Albrechtowi, Spytkowice wraz z Bachowicami pozostawiono rodzinie Myszkowskich. Z tego widać, że przedtem były w czasowem posiadaniu jako tenuta, jak zapewne i inne majątki w innych rodach, co się już uwidocznia przy przywileju książąt zatorskich, danym w roku 1513 i potwierdzonym przez królów polskich na wieś Gierałtowice rodzinie Gierałtowskich. Myszkowscy przez długie czasy posiadają Spytkowice; widzimy tu stary zamek, do dziś mieszkalny, przez tę rodzinę

postawiony. Pamiętne są także Spytkowice zabiciem w sporze o wodę ze stawu księcia zatorskiego, Janusza, w roku 1513, 17. września, przez Wawrzeńca Myszkowskiego, kasztelana sandeckiego, syna Piotra, wojewody łęczyckiego i kasztelana oświecimskiego.

Do Spytkowic należy wieś Bachowice, po prawej stronie starego gościńca. Jest ona jedną z najdawniejszych osad w dawnej ziemi zatorskiej. W roku 1297 dozwolił Mieczysław III, książę cieszyński, pan na Oświęcimiu i Zatorze, na odnowienie jeziora i zaprowadzenie w niem rybołowstwa, zamulonego wylewem Wisły, z którego to jeziora wypływa potok Złotoryja czyli Czartoryja. W roku 1304 ten sam książę dyplomem w Cieszynie, daje klasztorowi Cystersów w Mogile las między Łączanami, Zajączkowicami, Bachowicami i Spytkowicami z dodatkiem prawa osadzenia wsi w jego obrębie. Dziś Spytkowice drogą spadku należą do dóbr krzeszowickich; mają duże stawy i dobrą glebę, kościół murowany.

Jadąc dalej gościńcem, napotykamy wieś dużą z kościołem, zbudowanym z drzewa, Ryczów; z nią graniczy wioska Półwsie, do Ryczowa należąca. Ryczów w pierwszych latach tego wieku posiadali Dzieduszyccy, odziedziczywszy go po Działyńskich; sprzedali potem Wojciechowi Brandysowi, który dał je w posagu córce, idącej za mąż za Tytusa Drohojowskiego. Obecnie posiada Ryczów ich córka, baronowa Błażowska; grunta nieco pagórkowate, dobrze rodzą; obecna właścicielka wydzierżawia je chłopom.

Nieco w lewo od gościńca, nad samą Wisłą, leży wieś Łączany, którą 1250 roku syn Władysława, księcia Oświęcimskiego, Włodzimierz, wstąpiwszy do klasztoru OO. Benedyktynów w Tyńcu, dał klasztorowi. Łączany graniczą z Chrząstowicami, a uregulowanie granicy sąd podkomorski zrobił w roku 1513, pod przewodem Mikołaja z Brzezia Lanckorońskiego.

Powracam nazad do Ryczowa, ażeby traktem na Półwsie dążyć do Kosowy. Dsiś w tej starej drodze zmiany już niema, lecz dawniej, a nawet za moich młodych lat, wioska ta odznaczała się przez cały rok prawie popsutą drogą, a to przez pędzenie po niej wołów, które w glinie iłowatej robiły wałki, tak twarde po zaschnięciu, iż jechało się wolno i bardzo nieprzyjemnie. Od Ryczowa już są małe pagórki, przez które idzie gościniec, i minąwszy Półwsie, zbliżamy się do Tłuczani, która ma wspólną z Kosowem przeszłość, bo długie wieki należała do rodziny Porembskich herbu Nabram z Żegociny Poremby. W monografii Kossowy wszystkie trzy wioski opisałem, gdyż i Chrząstowice do całości tego starego majątku i do parafii tłuczańskiej należą. Tłuczań dzieli się na dwie części, dolną i górną, a potem, jeszcze w końcu przeszłego wieku, Jordan ożeniony ze Starowiejską, zformował trzecią część i nazwał Jordanówką. Kościół tu z drzewa, zbudowany przez Piotra Porembskiego w roku 1636, na miejsce dawnego, ufundowanego przez Dersława, zwanego Dzierżkiem, ze Stogniewic, stolnika krakowskiego w roku 1353, po uformowaniu przez Bodzantę parafii tłuczańskiej. Położenie tu górzyste i ziemia mniej urodzajna, glinka. We wsi jest jeszcze drugi kościół, zwany małym kościółkiem, w którym był obraz Nawidzenia Najświętszej Maryi Panny, łaskami słynący. Obecnie obraz ten jest w wielkim ołtarzu, w kościele farnym umieszczony.

W kościele są groby Porembskich i Starowiejskich, w kościółku Paprockich i Wybranowskich. Zasługuje na wspomnienie akt, sporządzony między stryjem a synowcem przy podziale fortuny w roku 1616, na podstawie dawniejszego już podziału między braćmi w roku 1597. Porembscy dzieląc się Kossową i Tłuczanią postanawiają, że stryj Andrzej bierze wieś Kossowę z częścią w Tłuczani, a synowiec Jan całą wieś Tłuczań. W dziale tym wymienione granice ról kmiecych i zagrodników, a nadto zastrzegli sobie Porembscy podanie plebana do kościoła tłuczańskiego, także

i innych beneficyj kościelnych, jeśliby z tych dóbr gdzie należało, „zarówno sobie obydwa Ichmość Panowie, stryj z synowcem zostawują, ani jeden bez drugiego nie może podać takiej baneficyi“, dalej orzeka akt, „wyderkaffy na tych majętnościach zapisane, jak do Skawiny złotych szesnaście, a do Zatora złotych sześć, powinni będą obydwa Ichmość panowie Porembscy spólnie na czas zwykły płacić, aby o to trudności prawne niezachodziły, ponieważ też oryginalnych sum tych wyderkaffów po połowicy na swoje części przyjmują.“ Na akcie są także podpisani Łukasz Gniewek i Jakób Daniecki, komornik graniczny zatorski.

Tłuczań drogą spadku przechodząc od Porembskich do innych rodzin, dostaje się w końcu Ankwiczom, a od nich hrabiom Żeleńskim i przez córkę Kryspina Żeleńskiego, Ludwikę, 1° voto bar. Borowską, a 2° voto Wężykową, przechodzi do Wężyków. Po śmierci pani Wężykowej sukcesorowie, mieszkający w Węgrzech, sprzedali Tłuczań żydowi.

Przejechawszy górę, dzielącą Tłuczań od Kossowy, powracamy do gościńca idącego z Zatora do Skawiny i jesteśmy u stoku góry, z którego widok rozciąga się daleki, nietylko na piękną dolinę Wisły, ale na szeroką okolicę pod sam Kraków.

Kossowa słynie pięknem swojem położeniem, bo ze wzgórza, na którem leży, przedstawiają się oba kopce, klasztor OO. Kamedułów na Bielanach, wieże Wawelu, przytem ruiny zamków Tenczyna, Lipowca i Tyńca, i klasztor w Alwerni, lecz przez ubytek lasów coraz więcej ten malowniczy krajobraz się zmienia.

Na lat wyżej trzydziestu kilku przed sprzedażą księstw, bo w roku 1426, Janusz, książę zatorski i oświęcimski, w poniedziałek przed św. Witem, nadaje rodzinie Porembskich z Żegociny-Poremby herbu Nabram, wsie Kossowę i Chrząstowice. Nadanie to jednak widać było czasowe, bo następca jego, książę Władysław, w roku 1457 sprzedaje Andrzejowi Porembskiemu Kossowę i Chrząstowice za sto złotych wę-

gierskich. Rodzina więc Porembskich od tej pory osiedla się w księstwach, obok rodziny drugiej z Wielkiej Poremby herbu Kornicz. Obydwie te rodziny posiadają dostojeństwa w księstwach i kojarzą się z sobą. — Posiadanie Kossowy, Tłuczani i Chrząstowic potwierdza dopiero ostatecznie król Zygmunt August w roku 1566, a nadanie to musiało być jeszcze zawisłe od króla, gdyż późniejsi starostowie księstw wydawali różne przywileje dla wsi, jak świadczy to transakcya Mikołaja Jordana z Zakliczyna, kasztelana wojnickiego, oświęcimskiego i zatorskiego starosty z roku 1521, i później Seweryna Bonara, starosty zatorskiego z roku 1533.

Taka jest historya pierwszego posiadania Porembskich, których do roku 1665 tam widzimy. Później przeszła Kossowa drogą układu familijnego do Andrzeja z Żydowa Żydowskiego, chorążego i sędziego grodzkiego, i podstarościego krakowskiego w roku 1702, także członka tej rodziny, urodzonego z Porembskiej. Po nim odziedziczył syn, ożeniony z Porembską, o którego ojcowskiej fortunie wspomniałem już wyżej. W roku 1726 dzielą się trzy jego córki; Kossowę z Chrząstowicami bierze Anna 1° voto Tęgoborska, 2° voto Nowosielska, kasztelanowa cieszanowska, w cenie 75.000 złp.

Pani ta, umierając bezdzietnie w roku 1772, zapisała Kossowę siostrze, Magdalenie Paprockiej, chorążynie podlaskiej w 1-szem małżeństwie Moszczyńskiej, w 2-giem Wilkońskiej; po matce dostało się synowi z ostatniego małżeństwa, Józefowi Paprockiemu, który mając jedyną córką urodzoną z Felicyi Pisarzowskiej, jej te dobra zostawił. Przechodząc taką spuściznę po mieczu i kądzieli, był ten stary majątek przez cztery i pół wieku w jednej prawie rodzinie, dopiero syn Anieli Wybranowskiej z pierwszego małżeństwa, Jan Łopuszański, sprzedał go w roku 1844 Mikołajowi Dembskiemu, i dziś syn jego Gustaw, ten piękny majątek dziedziczy.

W Kossowej stoi dawny dworek modrzewiowy, postawiony przez Annę Tęgoborską w roku 1743. Ma on postać

bardzo starą, dawniej miał cztery narożniki w formie baszt lub wieżyczek.

Chrząstowice leżą nad samą Wisłą i mają grunta na wylewy wody nieraz narażone. Dzieje ich wspólne z dziejami Kossowa, jednak w dawniejszej przeszłości nietylko należą do Porembskich, ale i do Myszkowskich i Przerembskich czas jakiś, co Henryk Walezyusz w roku 1574 potwierdza, a potem do Rozważewskich. Dziś folwark już nie istnieje, część gruntów kupili chłopi, a część przyłączoną jest do Kossowy. Wisła, okalając w formie podkowy sto morgów pola, w roku 1839 przerwała pod samym dworem dawne swoje łożysko, bronione silnymi wałami, czyli tak zwanym „jazem“, przez który się jechało jak groblą stawową, i skróciła bieg swój tak, że to odcięte pole było już za ówczesną granicą, co utrudniało administracyę i zniewoliło do sprzedaży chłopom z Rusocic, jako do ich gruntów przyległe pole. Tak znikła także przed kilku wiekami w sąsiedztwie Tłuczani wioska „Owsianka“, z której jeszcze w XVII wieku pisali się Owsieńscy. Dwór rozebrano, a grunta do innych wiosek przyłączono, i powstała nowa nazwa, o której zaraz powiemy.

Jadąc dalej na wschód gościńcem, zaraz u granicy Kossowy, leży wieś Nowedwory, dziś w trzeciem pokoleniu majątek rodziny Gorczyńskich, dawniej zaś tak samo ciągle złączona z Brzeźnicą. Do niej się odnosi moja poprzednia wzmianka o Owsiance, że po zniknięciu folwarku przydzielono grunta do innych wsi, gdyż Nowedwory w akcie granicznym z roku 1568 niewymienione są jeszcze. Nowedwory później są także w czasowem posiadaniu właścicieli Kossowy, bo w roku 1648 Porembscy i pozostała wdowa wraz z synem Zygmuntem „dobra prawu swemu dziedzicznemu i dożywotniemu podległe“ (tak się kontrakt wyraża) wypuścili Kossowę, Tłuczań, Nowydwór alias Brzeźnice, Owsiankę, Porembę, Markowę i Chrząstowice na trzy lata za 12.000 złp. Janowi z Górnych Łęczów Lenczowskiemu.“

Wszystko, co człowiek wielkiego gustu i pracy uskutecznić może, widzi się w Nowych dworach zrobione ręką zasłużonego powieściopisarza Adama Gorczyńskiego, ojca dzisiejszego właściciela, pana Józefa. Pan Adam pisał pod pseudonimem „Jadam z Zatora“ nietylko powieści ale poezye i dramata, przytem jako malarz i wzorowy gospodarz, a miły sąsiad, na wszystko miał czas. Łącząc w swoim ładnym i gościnnym domu życie nietylko bliskiego sąsiedztwa ale i dalszej okolicy, zostawił po sobie pamięć najpiękniejszą.

Cokolwiek dalej na tym samym gościńcu, prawie tak jak z Kossowej do Nowodworów, leży duża wieś Brzeźnica. Dzieli się ona na dwie części „Radwańską i Malowaną.“ — Historya jej łączy się tak w przeszłości, jak i w chwili obecnej z wioską, której dzieje wyżej skreśliłem. W XVI wieku widzimy tam Palczowskich, którzy się rozgraniczają Kossową i Chrząstowicami. Po nich są Bielscy. Potem dziedziczą Bereźnicę radwańską z Pasieką (przysiółek nad samą Wisłą), Nowedwory, Owsiankę, Bachurowice i część w Wysoce i Marcyporembie Romuald i Mikołaj z Kruków Radecz Radeccy. W roku 1786 odsprzedał Radecki, chorąży horodelski, Jackowi Wowrza Maszewskiemu i Wojciechowi Rotermundowi, którzy w rok później podzielili się i został właścicielem Rotermund. Potem Bereźnicę czas krótki posiada Atanazy z Siemowy Siemoński, i ten w roku 1848 sprzedaje ją Józefowi i Katarzynie Gorczyńskim za 7.000 czerwonych złotych holenderskich, obrączkowych. Dziś wnuk, drugi syn Adama, o którym wspomniałem przy Nowych dworach, ten piękny familijny majątek dziedziczy.

Adam Gorczyński, mieszkając czas jakiś w Bereźnicy, nim się przeniósł do Nowych dworów, upiększył ją także, założył ładny ogród w guście angielskim, przy dużym murowanym dworze i przy pięknych murowanych budynkach. Kolej, idąca przez wieś, niedaleko dworu, ze swoim dworcem piękniejszą i przyjemniejszą ją jeszcze czyni, a gleba dobra i gospodarstwo stawowe podnoszą wartość tego ma-

jątku. Kościół jest w Marcyporembie. Druga część, zwana książęca, albo malowana, z dawien dawna należąca do Kalwaryi, jest w posiadaniu wraz z kalwaryjskiemi dobrami Brandysów, których dziad kupił je od książąt Czartoryskich. W Bereznicy łączy się na nowo kolej z dawnym gościńcem, bo porzuciwszy go przed Ryczowem, trzymała się ciągle doliny Wisły, a odtąd dąży już obok niego aż do Skawiny.

Niedaleko pomiędzy Bereznicą i Jaśkowicami mały potoczek, zwany „Cedron“, stanowi granicę dawnych księstw: zatorskiego i oświęcimskiego. Na niem i moje opowiadanie się kończy, z podaniem jeszcze tylko kilku wiosek, leżących na pasie granicznym, których przeszłość jest mi znaną. — Kopytówka należąca do parafii Marcyporemba ma wspólną historyę z Benczynem, tuż obok graniczącym. W roku 1522 posiada ją rodzina Przypkowskich. Od nich przeszły te dwie wioski do rodziny Strzałów z Sosnowic. Przy Kopytowie wspominają stare akta z roku 1633 Brzezinkę (która do dziś do niej należy), Hajdugę, a przy Benczynie Zadraboże. Także przez ożenienie posiadają je Guttery i dopiero razem z Paszkówką nabył ją Andrzej z Żydowa Żydowski w roku 1678. W dokumentach odnoszących się do tych majętności, znajdujemy wzmiankę o rodzinach Ostrogórskich, Witkowskich i Szeligów. Ostatecznie dostawszy w dziale Kopytówkę, Anna Tęgoborska sprzedała ją w roku 1740 Ostrogórskiemu za 10.000 złp. W lat dopiero wiele, w pierwszej połowie tego wieku nabył Kopytówkę baron Baum, wysoki urzędnik austryacki i teraz dzizdziczy ją zacna jego synowa, wdowa po Józefie, byłym wiceprezesie Koła polskiego w Wiedniu.

Gleba, glinka urodzajna, gospodarstwo wzorowe; pałacyk wraz z bardzo pięknymi morowanymi budynkami i ogrodem, zbudował i założył Józef Baum, człowiek pełen gustu i wielkiego w całym powiecie wadowickim u ludu zaufania, a może powiem i miłości, jakiej doznawał jako prezes rady powiatowej i jako poseł z mniejszej własności do sejmu, tudzież rady państwa, kilkakrotnie przez samych chłopów wy-

bierany. — Wychowany w akademii wojskowej w Wiedniu razem ze swoimi braćmi, również jak on zacnymi Polakami, rozpoczął służbę w wojsku. Po ożenieniu się z panną Duninówną, siostrą Teodora i Tytusa, osiadłszy w Kopytówce, oddał się pracy i swoje późniejsze szerokie wykształcenie sobie zawdzięczał. Był na pozór skromny, a mimo to wielki wpływ wywierał swoim rozumem i powagą w życiu prywatnem i publicznem.

Paszkówkę w roku 1546 ma Jan Paszkowski. Paszkowscy piszą się z Brzezia i łączą się z rodziną możną i znaczną, Strzałów ze Sosnowic, a następnie z Lgockimi z Lgoty, z Russockimi z Brzezia i z Rajskimi z Rajska. Także w starych aktach jest ślad, że ta wieś w XV wieku należała do Alberta i Katarzyny Oczesnej, którzy sprzedali ją Mikołajowi z Rosocic i jego sukcesorom. W roku 1678 od Dominika Parchowskiego nabył Paszkówkę Andrzej Żydowski, chorąży, sędzia grodzki i podstarości krakowski, — poczem wzięła ją w schedzie pani Anna Tęgoborska, córka Antoniego, ostatniego Żydowskiego, oszacowaną razem z Benczynem na 100.000 złp. W Paszkówce za czasów pani Tęgoborskiej, w drugiem zamężciu Nowosielskiej, kasztelanowej ciechanowskiej, stał duży dworzec drewniany, okazały w środku piątrowy, gdzie się mieściła wielka sala, przez piątro sięgająca, z galeryą o kolumnadzie, na której grywała nadworna kapela z dwunastu muzykantów złożona. Czas budowy tego okazałego dworu sięgał dalszych czasów niż państwa kasztelaństwa; zapewne był jeszcze stawiany, nim dziad pani kasztelanowej nabył Paszkówkę, bo z początkiem tego stulecia już go rozebrano, a w lat sporo dopiero postawił na jego miejscu ładny pałacyk Leonard Wężyk, który jako poseł do sejmu krajowego i do rady państwa w Wiedniu, odznaczał się wielką pracą i niepospolitemi zdolnościami, choć nie bez pewnej oryginalności. Po kasztelanowej Nowosielskiej, bezdzietnie zmarłej, jak Kossowa z Chrząstowicami przeszła na jej siostrę Paprocką, tak Parchówka

z Benczynem w roku 1772 dostała się drugiej siostrze, Pruszyńskiej, i przez Rottermundów przeszła do Wężyków; dziś przez zapis Leonarda Wężyka jest w posiadaniu dalekich krewnych Wężyków.

Kościół w Pobiedrze, (należącym do Paszkówki) na miejsce starego, z drzewa zbudowanego, dziś bardzo piękny murowany, fundacyi Ludwiki z hrabiów Żeleńskich Wężykowej. — Grunta nieco pagórkowate, glinka urodzajna, jak i w sąsiednich wioskach do parafii w Pobiedrze należących, Sosnowicach, Jaśkowicach i Wielkich dworach. W tej ostatniej wsi znowu spotykamy się z koleją i dawnym gościńcem. Jest to majątek Brandysów z Kalwaryi, piękny i bardzo ładnie urządzony; ma niezmiernie gustowny pałacyk, stojący w dużym starym parku, przez poprzednich właścicieli, Olearskich, założonym. Budynki gospodarskie murowane, tuż obok biegnie gościniec dawny, obecnie szutrówka i kolej, co majątek jeszcze piękniejszym czyni.

W Jaśkowicach jest dziś zakład wodoleczniczy, również w ładnym pałacyku, postawionym przez poprzedniego właściciela, Henryka Dąbskiego, ożenionego z Zofią Lgocką, córką Fryderyka, po której wziął ten majątek.

Z Jaśkowic w XV wieku pisali się Jaśkowscy; jeden z nich Jan na akcie granicznym Łączan w roku 1515 jest podpisany. Później widzimy różnych właścicieli; w końcu przeszłego stulecia posiadają je Duniny, potem Lgoccy.

Na zakończenie tego opisu księstwa zatorskiego i oświęcimskiego od strony Wisły, muszę jeszcze wspomnieć o domowym przemyśle, jaki tam do niedawna istniał z wielkiem powodzeniem, a nigdzie nie był naśladowanym. W Pobiedrze wyrabiano w wielkim poście doskonałe obwarzanki, dwa razy w tydzień pieczone. W koszach na plecach były roznoszone przez chłopów we środy i piątki. Wiązanka, mająca 25 obwarzanków, makiem posypanych, kosztowała trzy krajcary waluty wiedeńskiej, równych dzisiejszym dwom centom.

Smak miały wyborny i odbyt wielki nawet do Krakowa. — Dlaczego zarzucono ten wyrób, nie wiem.

W całym tym opisie razi ciągłe powtarzanie jednych i tych samych rodzin przy wymienianiu posiadaczy wiosek, uniknąć tego jednak nie mogłem, chcąc oddać wiernie każdej wioski dzieje, bo rodziny te wiekami w nich siedzą i łączą się między sobą.

KONIEC.

SPROSTOWANIE.

				Zamiast:	*Ma być:*
Strona	15,	wiersz	6 od dołu	Ditkomia	Ditkowiec
„	15,	„	8 „	Tużyński	Tuczyński
„	15,	„	8 „	Nartarowa	Nastasowa
„	24,	„	2 „	czternaście	czterdzieści